Serya III. Styczeń 1897. Nr 1.

LISTY I PRZESYŁKI ADRESOWAĆ NALEŻY: DAWN 7, Beaumont Square. Mile End Road London E.

PRZEDŚWIT

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

Przedpłata roczna wynosi: 4 s. — 4 m. — 5 fr. — 1 dol. w kopertach: 5 flor. — 2 r.s.

CZASOPISMO SPOŁECZNO-POLITYCZNE

ORGAN ZWIĄZKU ZAGRANICZNEGO SOCYALISTÓW POLSKICH

Występując z przyczyn odemnie niezależnych z redakcyi „Przedświtu", żegnam serdecznie jego czytelników i proszę ich, by i nadal popierali energicznie, to tak użyteczne dla naszej sprawy, pismo.

W. Jodko.

Na mocy uchwały Z. Z. S. P. z dniem 1 go stycznia Redakcya „Przedświtu" zostało objęta przez tow. L. Płochockiego (St. Os . . . arza).

Centralizacya
Z. Z. S. P.

NASZ BILANS

Jesteśmy świadkami charakterystycznego procesu, odbywającego się obecnie w łonie społeczeństwa polskiego. Rozwój stosunków społecznych i politycznych powoli zdziera maskę patryotyzmu i dążeń wolnościowych z twarzy tych, którzy dość długo paradowali ucharakteryzowani za demokratów, patryotów i t. d.

Co do naszych klas posiadających, to te już oddawna nie krępują się żadnymi względami „tradycyi narodowych", otwarcie głoszą zgodę z rządami zaborczymi i szukają ich pomocy przy zaspakajaniu swych interesów klasowych. Arystokracya nasza zawsze była nawskroś przejęta duchem Targowicy i politycznie narodową przestała być od bardzo dawna. Burżuazya nasza, jako klasa, zbyt jeszcze jest młodą, ażeby miała jakieś tradycye narodowe. Zanadto zresztą jest związana z rządem, ażeby mogła prowadzić politykę inną, aniżeli ugodową, dopóki ten rząd nie zdradzi zbyt jaskrawo chęci pozbawienia jej zysków milionowych.

Nie chodzi nam tu jednak ani o arystokracyę, ani o burżuazyę. Chcemy wskazać tylko na przeobrażenie znamienne tej części społeczeństwa polskiego, która dotychczas uchodziła za wyobrazicielkę i przedstawicielkę prawdziwego patryotyzmu i demokratyzmu polskiego — na te sfery inteligencyi i drobnomieszczaństwa, które do dnia dzisiejszego wymachują chorągiewką z orzełkiem (niegdyś białym, dziś zaś pod wpływem różnych zmian temperatury politycznej bardzo przypominającym wszelkie poczwary dwugłowe).

Sfery te obecnie przedstawiają obraz zupełnego rozbicia. W Galicyi ludowcy, którzy jeszcze przed kilkunastu miesiącami byli — jak się zdawało — partyą pełną nadziei na przyszłość, zmarnowali się doszczętu i wpływ swój dawny utracili całkowicie. W zaborze rosyjskim nasi „demokraci narodowi" zostali zaskoczeni przez ugodę, spłodzili „program", któryby wypadało raczej nazwać ich nekrologiem i — jak oświadczają sami — . . . czekają. Nawet fakt takiej doniosłości, jak przyjazd cara do Warszawy, nie pchnął ich do zamanifestowania bodaj istnienia. Woleli czekać . . .

Ale życie nie czeka! Wartki strumień rozwoju społecznego czekających obala, obezwładnia i wyrzuca na mieliznę; unosi zaś dalej tylko takich, którzy go opanować zdołali.

Nasi demokraci patryotyczni znaleźli się obecnie na mieliźnie, z której chyba już nie zejdą. Gdyby zaś nawet i zeszli zdziesiątkowani, to byłoby zapóźno, bo zostali obecnie wyprzedzeni przez tych, którzy potrafili ująć w swe ręce sztandar niepodległości narodowej, wypisawszy na nim jednocześnie hasło wyzwolenia mas ludowych z niewoli ekonomicznej.

W społeczeństwie naszem mamy obecnie zatem dwie tylko siły poważne — siły wrogie wzajemnie, nieprzejednane i walczące na życie lub śmierć. To z jednoj strony klasy posiadające, które opierają się na rządach zaborczych, — z drugiej zaś lud, reprezento-

wany w pierwszej linii przez zorganizowany proletaryat socyalistyczny. Klasy posiadające coraz bardziej zaprzedają się rządom, lud w miarę rozwoju świadomości politycznej coraz bardziej nasiąka socyalizmem i szykuje się do walki. Przepaść, dzieląca dwie te potęgi, rozszerza się coraz bardziej, a żywioły pośrednie — w rodzaju naszych „demokratów narodowych“ — zapadają się coraz głębiej i tracą wszelkie znaczenie poważniejsze. To samo zresztą daje się spostrzedz nie tylko u nas, ale i wszędzie na Zachodzie: w Niemczech, w Belgii i t. d. W niektórych krajach proces ten odbywa się bardziej powoli, w innych szybciej.

U nas podobne ustosunkowanie się sił społecznych jest całkiem wyraźne, i żadne efemeryczne ruchy drobnomieszczańskie, tak w miastach jak i po wsiach, nie zdołają tego zamglić. Proletaryat polski stał się obecnie jedyną poważną siłą, która może brać na siebie zadanie politycznego i społecznego wyzwolenia ludu polskiego.

Zadanie proletaryatu polskiego jest niezwykle trudne i wymagające przygotowania całego lat szeregu. Jedynym sojusznikiem jego jest tylko bratni proletaryat międzynarodowy, którego pomoc nie zawiedzie w chwili stanowczej. Pozatem musi liczyć wyłącznie tylko na własne siły.

Siły te potęgują się ustawicznie, a każdy rok przyczynia się do ich wzrostu w większej lub mniejszej mierze.

Rok ubiegły należał do najobfitszych w plony dla proletaryatu polskiego we wszystkich trzech zaborach.

Jesteśmy świadkami szybkiego wzrostu polskich sił socyalistycznych przedewszystkiem w zaborze austryackim, gdzie proletaryat polski w roku ubiegłym złożył dowody swej dojrzałości politycznej podczas wyborów.

Przeszłoroczne wybory galicyjskie — to jedna z najwspanialszych kart w dziejach socyalizmu polskiego. Kilkadziesiąt tysięcy głosów, oddanych na kandydatów naszych, świadczy najlepiej, że socyalizm ma u nas wszelkie widoki świetnego rozwoju i to nietylko po miastach, lecz również i na wsi — tam właśnie, gdzie reakcya wszelkiego rodzaju czuła się dotychczas jak w twierdzy niezdobytej.

Agitatorowie nasi podczas kampanii wyborczej mieli sposobność blizko zetknąć się z ludem wiejskim, poznać jego istotne usposobienie i przygotować grunt dla przyszłej, już nie dorywczo, ale planowo prowadzonej propagandy zasad socyalistycznych. Walka z wszelkiego rodzaju „przyjaciołmi ludu“ na wsi nie okazała się tak trudną, jak przypuszczali wrogowie nasi, a „Prawo Ludu“ — socyalistyczne pismo dla chłopów — po kilku miesiącach istnienia już zjednało sobie tysiące czytelników pod słomianemi strzechami.

Wybory poruszyły do głębi szerokie masy ludowe zaboru austryackiego. Gorączkowo prowadzona w ciągu kilku miesięcy agitacya wyborcza pozostawiła niezatarte ślady nawet tam, dokąd propaganda socyalistyczna jeszcze nie sięgała: w zapadłych mieścinach żydowskich, w odludnych zakątkach górskich.

I oto widzimy, jak natychmiast po wyborach powstają organizacye robotnicze w takich punktach, które wydawały się dotychczas całkiem niedostępnymi dla ruchu socyalistycznego.

W Brodach, w Drohobyczu, w takim Borysławiu tej słynnej „mordowni“ robotnika galicyjskiego — zjawiają się stowarzyszenia robotnicze, coraz częściej urządzane bywają zgromadzenia ludowe, rozchodzi się coraz więcej literatury partyjnej. Partyi wprost sił nie starczy ażeby odpowiednio zadosyć uczynić wszystkim żądaniom nowozaciężnych towarzyszy . . .

„Robotnik“ lwowski zostaje zmieniony na tygodnik, gdyż pismo, wychodzące trzy razy na miesiąc, nie może zadowolić wciąż wzrastającej rzeszy czytelników.

Ruch wzmaga się coraz bardziej, rozsadzając ramy dotychczasowej organizacyi partyjnej. Zjawia się potrzeba zdecentralizowania ruchu na podstawie naturalnego ustosunkowania terytoryalnego. To też na kongresie wrześniowym we Lwowie uchwalono utworzyć cztery okręgowe komitety partyjne: w Krakowie, Lwowie, Przemyślu i Cieszynie, podlegające władzy centralnego organu wykonawczego. W ten sposób partya pozyskała daleko większą swobodę ruchów, co ze względu na wzrastające znaczenie takich ośrodków jak Przemyśl i Cieszyn — zwłaszcza ten ostatni — było niezbędne.

Co do Cieszyńskiego, które jeszcze nie tak dawno było dla socyalizmu polskiego niczem, to w roku ubiegłym stało się ono placówką nader ważną. Pod wpływem agitacyi wyborczej i tam obudziły się szerokie masy ludności robotniczej, i dziś mamy na Szlązku wspaniały ruch proletaryacki, zaznaczający się bardzo wybitnie w całokształcie ruchu polskiego. Dziesiątki co tygodnia odbywających się zgromadzeń ciągłe organizowanie się stowarzyszeń politycznych i fachowych, niezmiernie szybki wzrost czytelników od

niedawna istniejącej „Równości“ cieszyńskiej — wszystko to jest rękojmią, że socyalizm na Szlązku już w niedalekiej przyszłosci będzie najpotężniejszą siłą polityczną.

Obok ruchu politycznego w zaborze austryackim wzmaga się ustawicznie i ruch fachowy, o czem świadczy najlepiej stale zwiększająca się liczba stowarzyszeń fachowych. Jako jeden z objawów spotęgowania się tego, ruchu możemy zaznaczyć powstanie „Pomocnika Handlowego“ — trzeciego fachowego pisma w Galicyi.

Wogóle rok ubiegły w rozwoju ruchu socyalistycznego w zaborze austryackim zaznaczył się nader dodatnio, a wszystkie objawy jego pozwalają twierdzić stanowczo, że ruch ten musi się w dalszym ciągu tylko rozwijać, krzepnąć, rozszerzać się i ze spotęgowaną szybkością dążyć do ostatecznego zwycięstwa, pomimo wszystkiego, co rozwój ten utrudnia, pomimo tysiącznych przeszkód, jakie nasi towarzysze galicyjscy i szlązcy na swej drodze napotykają...

Bo też i warunki w jakich muszą pracować, do najdogodniejszych chyba nie należą. Pomijając już tysiące szykan i prześladowań, ustawicznych konfiskat, ciągłego zakazywania zgromadzeń, licznych procesów i t. d., partya nasza w zaborze austryackim zmuszona jest walczyć ze wszystkiemi partyami, częstokroć zwalczającemi się nawzajem, ale — jeśli chodzi o socyalistów — idącemi zawsze ręka w rękę.

Stańczycy, klerykali, antysemici, liberali, demokraci, ludowcy — wszystko to zionie nienawiścią do partyi naszej i widzi w niej (całkiem słusznie zresztą) najniebezpieczniejszego swego wroga.

Jeszcze gdyby chodziło o walkę uczciwą, o zasadniczą walkę polityczną, zadanie partyi naszej nie byłoby tak trudnem. Ale przeciwnicy socyalizmu nie przebierają w środkach i prowadzą w swych licznych organach kampanię godną opryszków — posługując się kłamstwem, oszczerstwem, denuncyacyami i t. d. Wobec zwartej falangi całej prasy galicyjskiej, towarzysze nasi są niemal bezbronni, gdyż tygodniowe organy partyjne w żaden sposób nie mogą systematycznie odpierać napaści wrogów.

Coraz bardziej wzrastająca zaciekłość tych ostatnich zmusiła socyalistów galicyjskich do zaopatrzenia się w broń skuteczniejszą, jaką może dać tylko pismo codzienne. I oto rozpoczyna się agitacya za zamianą „Naprzodu“ na pismo codzienne. Myśl ta przyjęta została przez wszystkich towarzyszy polskich z takim zapałem, że już w roku bieżącym niechybnie zostanie urzeczywistnioną.

Jeśli o zaborze pruskim nie możemy powiedzieć tego samego, co o austryackim, to w każdym razie i tu rok ubiegły nie minął bez śladu. Przedewszystkiem raz już zadano cios stanowczy warchołom, mącącym harmonię wewnątrz partyi, oczyszczono ruch od żywiołów przewrotnych i szkodliwych i otwarcie powiedziano słowa prawdy przyjaciołom i wrogom.

Zjazd hamburski i pewne objawy na Szląsku pokazały, że w zaborze pruskim partya nasza ma do zwalczania nie tylko rząd pruski i hakatystów burżuazyjnych, nie tylko wyzyskiwaczy i ciemiężców polskich i niemieckich, ale i brak zrozumienia istotnych interesów socyalizmu przez niektórych towarzyszy niemieckich. Możemy jednak mieć nadzieję, że te nieliczne wybryki hakatyzmu, jakich dopuszczają się pp. w rodzaju Wintera, są zjawiskiem przypadkowem i przemijającem, i że ogół partyi niemieckiej zawsze będzie popierał nasze dążności polityczne.

Rękojmią tego są nie tylko występy naszych przyjaciół wśród niemców w rodzaju Liebknechta, ale i pewne fakty całkiem realnej natury, jak naprzykład założenie przez niemców „Górnika“ w Bochum — pisma fachowego, przeznaczonego dla robotników polskich Westfalii i Szląska.

W każdym razie ruch socyalistyczny zaboru pruskiego, pomimo niewątpliwego wzrostu w roku ubiegłym, będzie najbardziej potrzebował pomocy ogółu towarzyszy polskich, chociażby ze względu na zbliżające się wybory do parlamentu. Być może, że, jeśli użyjemy wszystkich wysiłków, już w roku bieżącym powitamy pierwszego polskiego posła socyalistycznego w radzie państwa w Berlinie...

Jeżeli postępy ruchu socyalistycznego w zaborze austryackim i pruskim cieszą nas niezmiernie, to każdy krok naprzód proletaryatu polskiego w obrębie caratu, napawać nas musi dumą niekłamaną. Bo czyż można porównać szykany i prześladowania ze strony różnych Badenich albo nawet rządu pruskiego i hakatystów z tem, na co są wystawieni towarzysze nasi w zaborze rosyjskim? A pomimo to jednak ruch nasz i tam potęguje się i szerzy, obejmując coraz to nowe sfery, przedzierając się coraz dalej.

W roku ubiegłym mamy wspaniale rozwijający się ruch w zagłębiu dąbrowieckiem, zaznaczający się kilkunastutysięcznym strejkiem. Górnicy polscy łączą się z resztą proletaryatu polskiego i walczą o polepsze-

nie smutnej swej doli, choć padają pod kulami żołdaków carskich. Ale krew pomordowanych robotników z „Huty Bankowej" woła o pomstę do całego ludu polskiego, i ten nie zapomni o nich, jak niezapomniał o ofiarach despotyzmu, sprzymierzonego z kapitalizmem, z Łodzi, Zyrardowa, Pniaków, Morawskiej Ostrawy...

Ale nietylko tak smutnymi, choć chlubnymi, faktami zaznaczył się rok ubiegły w dziejach ruchu socyalistycznego w zaborze rosyjskim. Nie, mamy do zaznaczenia wypadki niezmiernie pocieszające, jak ukazanie się jubileuszowego numeru „Robotnika" warszawskiego, tego Benjaminka socyalizmu polskiego, jak powstanie i rozwój „Górnika", jak ruch proletaryatu żydowskiego, wywołany przez partyą naszą i t. d.

Ruch socyalistyczny w zaborze rosyjskim, stał się już taką potęgą, z którą muszą się liczyć na seryo sfery rządzące i panujące, a mężne wystąpienie partyi naszej podczas przyjazdu cara Mikołaja Chodyńskiego do Warszawy, odrazu pokazało wszystkim, że ona to dziś jest jedyną partyą rewolucyjną w Polsce, że ona jedna potrafi walczyć z najezdcą i że po za klasą, którą ta partya reprezentuje, nie ma u nas poważnych żywiołów opozycyjnych.

Takie były plony ruchu naszego w kraju.

Na emigracyi „Związek zagraniczny socyalistów polskich" pełnił w roku ubiegłym raźniej niż kiedykolwiek swe obowiązki, pomagajac krajowi licznemi wydawnictwami, w dziesiątkach tysięcy przewożonemi do Polski.

W Ameryce proletaryat polski coraz bardziej garnął się pod nasz sztandar i organizował się na podstawie naszego programu. Obok „Siły" ukazuje się drugie pismo socyalistyczne — „Postęp"...

Wszystkie te fakty świadczą o stałym, coraz to potężniejszym rozwoju świadomości społecznej i politycznej naszych mas ludowych. Świadczą one, że partya socyalistyczna w Polsce pomimo, przeszkód niesłychanych, już dzisiaj jest czynnikiem pierwszorzędnym w życiu narodu — czynnikiem, którego znaczenie wciąż będzie wzrastało.

Wobec tego możemy nasz bilans zamknąć z uczuciem zupełnego zadowolenia i z otuchą zabrać się do dalszej pracy, — zmudnej pracy przygotowywania drobnych cegiełek dla wspaniałego gmachu przyszłej wolnej Polski ludowej.

UPADEK BADENIEGO

Stoimy wobec faktu doniosłości dziejowej. Kiedy szczuplutka garstka prawdziwych reprezentantów ludu roboczego pojawiła się poraz pierwszy w parlamencie austryackim, niebrakło głosów — nawet w szeregach partyi socyalistycznej, — które z pewnem lekceważeniem odzywały się o roli posłów robotniczych. Nie potrafią oni nic zrobić, a ich obecność w parlamencie ma chyba tylko moralne znaczenie; ograniczą się protestami, wypowiedzą kilka mów energicznych, ale głos ich na szali parlamentarnej nie zaważy — powiadano. Tymczasem minęło zaledwie kilka miesięcy, a uosobienie reakcyi politycznej, morderca chłopów galicyjskich — Badeni — strzaskał swą „żelazną ręką" o zaciętą opozycyę tej szczupłej garstki wybrańców ludu roboczego i runął ku nieopisanej radości wszystkich, dla kogo konstytucya i wolność nie stały się jeszcze czczymi frazesami. Pokazało się, że tylko i jedynie posłowie socyalistyczni zdobyli się na czyn rzeczywiście obywatelski, tylko oni potrafili na gwałt niesłychany gwałtem odpowiedzieć, tylko oni obronili konstytucyę i zapobiegli temu, ażeby w Austryi zapanowały porządki rosyjskie.

Przyjrzyjmy się więc tym pamiętnym wypadkom bliżej i oceńmy ich znaczenie.

Nie mogąc sobie dać rady z obstrukcyą, rząd postanowił użyć środków brutalnego gwałtu i w ten sposób usunąć z sali posiedzeń niebezpiecznych dla siebie posłów. W tym celu na posiedzeniu d. 25 listopada prezydent izby — Abrahamowicz — udzielił głosu hr. Falkenhaynowi, słynnemu mordercy górników czeskich, niemieckich i polskich, który postawił wniosek, aby prezydent miał prawo wykluczać posłów z posiedzeń parlamentu i to nawet z pomocą policyi. Każdemu z posłów przysługuje prawo stawiania wszelkich wniosków, o ile ma dostateczne poparcie, to też przeciwko samemu faktowi postawienia tego wniosku nikt nic by mieć nie mógł. Wniosek ten, jako dotyczący zmiany regulaminu, powinien był być poddany pod dyskusyę i przejść trzy czytania.

Ale p. Abrahamowicz uplanował w porozumieniu z prawicą — co innego. Postanowił on sobie za radą Badeniego nic nie robić z ustaw zasadniczych i regulaminu i dać uchwalić wniosek bez dyskusyi. Ponieważ w izbie panował hałas nieopisany i nikt tego, co mówił Abrahamowicz, nie mógł słyszeć, lewica ze zdziwieniem dowiedziała się, że ... wniosek Falkenhayna został przyjęty ogromną większością. Należący do spisku posłowie (polscy z „Koła" i stojałowczycy, młodoczesi, klerykali, południowi słowianie itd.) na dany przez Abrahamowicza znak powstali i komedya była skończoną.

Ogólna konsternacya zapanowała w izbie. Stronnictwa niemieckiej opozycyi burżuazyjnej nie taiły swego oburzenia, ale znalazły się w stanie zupełnej bezradności. Ponieważ Badeni ustawicznie prowadził szacherkę zakulisową z opozycyą niemiecką, więc żywioły, które za cenę pewnych drobnych ustępstw były gotowe zaprzestać gwałtownej obstrukcyi, podniosły głowę. Za ich to przyczynieniem się obstrukcya niemiecka postanowiła założyć protest uroczysty i wyjść z sali. Gra była pomyślana dowcipnie, zapomniano tylko, że w parlamencie istnieje grupa posłów socyalistycznych, biorących udział w obstrukcyi nie dla zwalczania jakichś rozporządzeń językowych, które jeden minister wydał, a drugi uprzątnie, ale dla zwalczania wroga ludu — Badeniego. Otóż ci ani chcieli słyszeć o żadnych komedyach z protestem lub małodusznej abstynencyi, tylko postanowili pozostać na sali

i zwalczać wniosek Falkenhayna. W tem postanowieniu też wytrzymali do końca.

Na następnem posiedzeniu posłowie socyalnodemokratyczni spotkali Abrahamowicza gradem obelg, które ten przyjmował ze swym zwykłym uśmiechem ironicznym. Kiedy głośne krzyki: „precz łotrze, łajdaku!“ nie poskutkowały, posłowie robotniczy rzucili się na miejsce prezydyalne i spędzili go z trybuny. W obronie Abrahamowicza wystąpili młodoczesi, a w parę chwil potem na salę wkroczyli pokrewni im duchem policyanci w liczbie 80-ciu. Posiedzenie zakończyło się wykluczeniem jedenastu posłów socyalnodemokratycznych i dwóch niemiecko-narodowych.

Wieść o tych gwałtach wzburzyła całe miasto, ponieważ nikt nie spodziewał się, że Badeni będzie miał bezczelność wprowadzić policyę do parlamentu. Posłom, wyprowadzonym z parlamentu, urządzono cały szereg owacyi. „Hoch Daszyński!“ rozlegało się po całym Wiedniu i to nietylko w kołach robotniczych. Po kawiarniach, restauracyach, knajpach robotniczych i na uniwersytecie wrzało jak w ulu. Pomimo wykluczenia prawie wszystkich socyalnych demokratów i w najdonioślejsze organa głosu zaopatrzonych narodowców, nie udało się nazajutrz odbyć posiedzenia izby poselskiej. Pod gradem najobelżywszych wymyślań zmuszony był Abrahamowicz ustąpić. Lex Falkenhayn nic nie pomogła. W parlamencie panowało oburzenie, które się udzieliło tłumom robotników i studentów, zgromadzonych przed parlamentem. Daszyńskiemu znowu urządzono wspaniałą owacyę. Demonstrujący studenci starli się z policyą, przyczem kilku pierwszych odniosło rany. Atmosfera coraz bardziej nasiąkała elektrycznością i lada chwila można było spodziewać się wybuchu.

Nazajutrz, w niedzielę d. 28 listopada, odbyło się dziewięć wielkich zgromadzeń socyalistycznych, na których robotnicy otrzymali od swych wybrańców dokładne przedstawienie sytuacyi parlamentarnej. Tylko dwa z tych zgromadzeń nie zostały rozwiązane. Na zgromadzeniach panował nastrój taki, że z pewnością twierdzić było można, iż, gdyby padło hasło: „na barykady!“ — lud roboczy nie zawahałby się ani na chwilkę. Ze zgromadzeń pociągnęło kilkadziesiąt tysięcy robotników przed parlament, gdzie na nich już czekali tłumnie zgromadzeni studenci. Rozległy się burzliwe okrzyki: „Precz z Badenim!“, „Niech żyje Daszyński!“ Posłów socyalistycznych wszyscy spotykają owacyjnie. Robotnicy i studenci łączą się w jedną zbitą masę, krążą pomiędzy uniwersytetem a parlamentem, śpiewając pieśni rewolucyjne. Przed samym parlamentem przechadza się kilkadziesiąt robotników polskich i czeskich, a dźwięki „Czerwonego Sztandaru“ uroczyście wznoszą się ku pogodnemu niebu. Oddział policyi konnej, spotykany gwizdem przeraźliwym, powoli przejeżdża środkiem Ringu.

Tłumy zasilają się coraz liczniej przybywającymi robotnikami. „Pieśń pracy“ brzmi coraz donośniej! Wtem na Ring wpada oddział huzarów, ze wściekłym impetem, rozpraszając tłumy. Policya dobywa pałaszy i rzuca się na robotników. Pada kilku rannych. Tłumy cofają się. Po dziesięciu minutach wszystko się uspakaja. Był to ostatni wysiłek dogorywającego ministeryum. W parę godzin potem wiedeńczycy dowiadują się o upadku Badeniego. Zapał nieopisany opanowuje wszystkich. Tego robotnicy dokazali! To zwycięstwo socyalnej demokracyi! — daje się słyszeć zdanie, powtarzane przez ludzi, którzy bynajmniej do obozu socyalnodemokratycznego nie należą. „To woda na ich młyn!“ — przytakują pesymistycznie antysemici. Sympatya dla socyalistów podnosi się do niebywałego dotąd poziomu, i, gdyby w tym dniu rozpisano wybory, wszyscy kandydaci robotników przeszliby niechybnie olbrzymią większością.

Manifestacye radosne odbyły się w Gracu, w Bernie, w Krakowie, Lwowie, Jarosławiu, Przemyślu i wielu innych miastach prowincyonalnych. Znienawidzony minister runął, a runął jedynie dzięki socyalistom — wiadomość ta wywoływała bezgraniczny entuzyazm mas robotniczych niemieckich, czeskich, polskich, słoweńskich. Nikt nie zaprzątał sobie głowy nowem ministeryum: wszyscy cieszyli się niewymownie z upadku Badeniego.

Podaliśmy tu pokrótce ważniejsze momenty tego historycznego wypadku, rozpatrzmyż teraz jego znaczenie polityczne. Dla nas, *socyalistów polskich*, upadek Badeniego ma szczególniejsze znaczenie. Dla nas Badeni był nietylko ministrem o despotycznych popędach, który deptał prawa konstytucyjne, nietylko brutalnym biurokratą austryackim, chcącym za pomocą szacherki politycznej powstrzymywać normalny rozwój ludów państwa Habsburgów. Nie. Był on naszym wrogiem osobistym, i, jeśli inne ludy Austryi mogły go nienawidzieć, to my mieliśmy do tego stokroć więcej powodów. Któż to był ten „minister“, którego tak opłakują dziś zgodnie „Kraj“ i „Nowoje Wremia“, bezmyślne organa brukowej prasy warszawskiej i padalce, gnieżdżące się w redakcyach galicyjskich? Kim był ten mąż opatrznościowy, którego upadek sromotny jest taką „straszną klęską narodową“ — jak twierdzą nasze wyrocznie polityczne? A więc przyjrzyjmy się bliżej tej postaci.

Badeni-minister znany jest wszystkim ze swych „czynów“, nie wiele jednak ludzi wie o tem, że mąż ten, zanim wypłynął na szerokie morze polityki ogólnoaustryackiej, miał już poza sobą przeszłość dość niepospolitą. Warto, ażeby czytelnicy nasi zapoznali się z tą przeszłością.

W r. 1876-tym wniesiona została w parlamencie wiedeńskim interpelacya z powodu nadużyć pewnego starosty galicyjskiego. Urzędnik ten, chcąc przeprowadzić przy wyborach do sejmu w Rzeszowie znanego Jędrzejowicza, zaopatrzył w legitymacye wyborcze 20 osób, nie posiadających praw wyborczych. Następnie ogłosił, że wybory odbędą się o godzinie 10, kiedy zaś prawdziwi wyborcy przybyli, ażeby spełnić swój obowiązek obywatelski, okazało się, że „wybory“ odbyły się już o 8-ej. Wyborcy podnieśli protest. Deputacya chłopska z hr. Reyem na czele udała się do Wiednia, i wybory te zostały unieważnione. Starosta ów, panek 30 letni, kazał zakuć w kajdany jednego z owych deputatów (ma się rozumieć chłopa — nie hr. Reya), co wywołało takie oburzenie nawet w „Kole“ polskiem, że jeden z jego członków, nie żaden socyalista, ani nawet demokrata, ale szlachcic, hr. Mierszewski, głośno zaprotestował przeciwko takim czynom starosty.

Starostą tym był hr. Kazimierz Badeni.

Minęło lat dziesięć. W r. 1886 ym odbywały się w Galicyi wybory do sejmu, i znowu zjawiła się deputacya w Wiedniu, skarżąc się na niesłychane nadużycia i gwałty, jakie odbywały się w Krakowie. Głosy kupowano na rzecz rządowego kandydata en gros, urzędnicy zaglądali do każdej kartki wyborczej, wskutek czego „znikło“ 400 tych kartek, głosowali umarli itd. Całą tą armią kierował starosta krakowski, hofrat i delegat namiestnictwa.

A tym był hrabia Kazimierz Badeni.

Co się upiekło urzędniczynie w małem prowincyonalnem miasteczku, nie uszło na sucho hofratowi w Krakowie. Musiał się podać do dymisyi i usunąć się z areny publicznej, gdyż osobistości tak skompromitowanej nawet austryacki rząd trzymać nie mógł.

Ale hr. Badeni nie oddawał się ponurej rozpaczy. W zaciszu domowem knuł plany daleko sięgające, a ponieważ miał pieniądze i możnych krewniaków, więc

nie wątpił, że może się jeszcze na coś przydać. I istotnie w dwa lata później hr. Kazimierz Badeni został namiestnikiem Galicyi. Stanowisko to jak najlepiej odpowiadało jego murawjewsko-hurkowskim instynktom. Chyba nie potrzebujemy zbytnio rozwodzić się nad działalnością namiestnikowską Badeniego. Panowanie jego było jednem pasmem gwałtów, które godnie ukoronowały wybory do sejmu r. 1895-go. Całem swem postępowaniem Badeni udowodnił, że potrafi dokonać czegoś jedynie za pomocą szacherki najnieuczciwszej, przekupstwa i bagnetów. To zaś wszystko, co wymagało istotnego taktu politycznego, jakichś bodaj minimalnych zarodów uczciwości, pryskało jak bańka mydlana. Najlepszym dowodem słynna ugoda polsko-rusińska, która nietylko nikogo nie pogodziła, ale z jednej strony wykopała jeszcze głębszą przepaść pomiędzy rusinami a polakami, a z drugiej ogromnie wzmocniła moskalofilów. O prześladowaniach ruchu ludowego, tak w mieście, jak i na wsi już nie wspominamy. Te setki lat więzienia, te tysiące zwichniętych egzystencyi, te procesy, konfiskaty, szykany wszelkiego rodzaju już same powinny natchnąć każdego socyalistę polskiego nienawiścią dla tego iście moskiewskiego satrapy w mundurze biurokraty austryackiego.

Taką była karyera Badeniego zanim stał się ministrem-prezydentem. Cała ta karyera była jednem pasmem razów, sypiących się na plecy ludu galicyjskiego. Przekleństwa proletaryatu polskiego ścigały go w drodze do Wiednia, a ten socyalista polski, który by nie poprzysiągł zwalczać go ze wszystkich sił, popełniłby zdradę na interesach ludu polskiego.

Jako minister prezydent Badeni od samego początku wykazał całą swą nieudolność. Tam, gdzie brutalna siła nie na wiele się zdała, gdzie trzeba było mieć pojęcie i o istotnych zadaniach polityki, i o doniosłości elementu społecznego, i o psychologii ludu — tam Badeni odrazu stracił równowagę. Ufny w poparcie prasy gadzinowej, wpakował milion w błoto, kupując pisma (Reichswehr, Allg. Zeitung, galicyjskie reptylia), których nikt nie słuchał. Chcąc pokazać, że jest „mężem o żelaznej ręce“, nie zatwierdzał Luegera na stanowisku burmistrza Wiednia. Kiedy jednak napotkał opór wiedeńczyków, musiał w końcu kapitulować. Otrzymaną po Taaffem sprawę reformy wyborczej rozwiązał w sposób jaknajnieszczęśliwszy tak, że chyba już w najbliższej przyszłości trzeba będzie tę nieudolną łataninę na nowo odrabiać. Wybory do parlamentu r. 1897, zwłaszcza galicyjskie, u wszystkich jeszcze tkwią żywo w pamięci. Zorganizowany mord, popełniony na ludzie rusińskim, nikczemne wprost nadużycia, jakie praktykowały się w całej Galicyi — oto kwiatki z pola działalności Badeniego. Rozwiązanie stowarzyszenia kolejarzy, łączącego 24.000 proletaryuszy w jeden potężny związek robotniczy, było policzkiem, wymierzonym całej klasie pracującej.

Wszystkiego tego już chyba było dosyć, ażeby posłowie nasi, tow. Daszyński i Kozakiewicz, zwalczali Badeniego wszelkiemi siłami, a gdyby choć na jedną chwilę o tej walce zapomnieli, cały proletaryat polski i rusiński miałby zupełne prawo rzucić im w oczy miano zdrajców ludu.

Ale nietylko jako socyaliści, nietylko jako przedstawiciele ludu pracującego powinni byli go zwalczać nasi posłowie. Obowiązek ten leżał na nich jako na polakach. Ministeryum Badeniego powszechnie uchodziło za polskie, a więc wszystko, co popełniało, szło na karb polaków. Wybory à la Badeni zawsze będą nosiły w Austryi miano „wyborów polskich“, a ta hańba, jaką okrył polaków Badeni, ta nienawiść, jaką wpoił on do „rządów polskich“, będzie trwała chyba bardzo jeszcze długo. Otóż Daszyński i Kozakiewicz, zwalczając Badeniego, jak najlepiej udowodnili wszystkim, że przedstawiciele ludu polskiego tak samo nienawidzą go jak i lud czeski i lud niemiecki. Daszyński i Kozakiewicz mieli wprost misyę patryotyczną do spełnienia, gdyż oni jedyni bronili w parlamencie honoru narodu polskiego, występując w imieniu ludu polskiego przeciwko gnębicielowi wszystkich ludów. Całkiem słusznie ktoś zauważył, że, jeśli lud wiedeński, wołając „Pfui Badeni!“, nie krzyczał jednocześnie „Pfui Polen!“, to jedynie dlatego, że mógł wznosić okrzyki „Hoch Daszyński!“. Gdyby nasi posłowie oprócz przyczynienia się do upadku Badeniego literalnie żadnych sukcesów w swej działalności parlamentarnej osiągnąć nie zdołali, to i w takim razie już zasłużyliby na uznanie nietylko socyalistów, ale wszystkich tych polaków, którzy jeszcze nie zupełnie przesiąkli ideami ugodowo-policyjnemi.

St. Os . . . arz.

CZYNNIKI KLASOWE

W CIAŁACH USTAWODAWCZYCH*)

Jedną z największych zdobyczy spółczesnej nauki społecznej jest uznanie zasady klasowości.

Rozpatrując dzieje ludzkości jako historyę walki klas, uznając, że osiągnięcie ideałów socyalistycznych musi być wynikiem walki proletaryatu z klasami posiadającemi, socyalizm naukowy przyczynił się w znacznej mierze do wyrobienia praw obywatelstwa zasadzie klasowości w nauce społecznej. Po za szkołą socyalistyczną już dużo wybitnych socyologów uwzględnia czynnik klasowy. Pr. Gumplowicz w swym „Systemie socyologii“ przyjmuje nawet za punkt wyjścia nie jednostkę, ale grupę społeczną. Burżuazyjny myśliciel Spencer, całkiem nieobeznany z naukowym socyalizmem, też uznaje wpływ klasowości na społeczne i polityczne przekonanie jednostki.

Jeżeli jednostka może się wyłamać z pod jarzma poglądów swego otoczenia, pozbyć się przesądów klasowych i nawet stanąć na gruncie interesów i dążeń innej klasy, to nie uczyni tego nigdy cała klasa społeczna. Spotykamy dziś w obozie socyalistycznym jednostki pochodzące z warstw burżuazyjnych, tak samo jak za czasów emancypacyjnych walk burżuazyi, w heroicznym okresie jej dziejów, znalazła się w obozie burżuazyjnym niewielka ilość przedstawicieli arystokratycznych rodów i duchowieństwa. Ludzie tacy są zdobyczą emancypującej się klasy na panującej.

Każda klasa wytwarza swą „sferę duchową“, t. j. ideały i poglądy społeczne, polityczne i moralne. Chociaż istnieje ciągłe wzajemne oddziaływanie sfer duchowych różnych klas, pomimo tego jednak ogólnej, jednolitej sfery duchowej być nie może, gdyż niema jednolitości społecznej w społeczeństwie, rozczłonkowanem na klasy. Egoizm klasowy jest podstawowym czynnikiem społecznym. Nie wypływa on bynajmniej wyłącznie ze źródła czarnego egoizmu jednostki; kierując się uczuciami przyjaźni i sympatyi dla zna-

*) Artykułem tym rozpoczynamy szereg prac, dotyczących wpływu czynników klasowych na różne dziedziny życia publicznego. Rozpatrzymy w przyszłości rolę czynników klasowych w samorządzie lokalnym, w prawodawstwie przemysłowem, w prawie cywilnem, w prawie karnem, w prawie prasowem, w organizacyi sądu i t. d.

omych. życzliwością dla krewnych, uczuciem miłości względem członków najbliższych rodziny, człowiek postępuje zgodnie ze swym egoizmem klasowym.

Współczucie z dolą warstw upośledzonych nie stanowi dostatecznej przeciwwagi egoizmowi klasowemu panujących żywiołów. Nic dziwnego : trudno współczuć z tem, czego się niedoświadczało i czego się należycie nie pojmuje ; w zbyt różnych warunkach znajdują się przedstawiciele różnych klas społecznych, by między nimi mogło wytworzyć się wzajemne zrozumienie i silne współczucie. Podział na klasy społeczne, chociaż ma tylko ekonomiczne podstawy (klasa to grupa ludzi, połączonych wspólnym interesem ekonomicznym), sięga jednak w głąb i wyż całego społecznego życia. Ciągła sprzeczność interesów najmitów i najemców wywołuje wzajemną niechęć w przedstawicielach tych klas. Nadzieje t. zw. socyal-polityków, że burżuazya pozbędzie się swego klasowego egoizmu pod wpływem teoryi społecznych, są wielce naiwne. Któż z nas nie spotykał właścicieli ziemskich lub fabrykantów, którzy na ławie szkolnej przyswoili sobie ideę klasy robotniczej — socyalizm, ale dość było kilku lat życia w roli najemcy, kilku lat starć ich interesów z interesami klasy robotniczej, ażeby już wytworzył się na dnie ich duszy pewien osad ich klasowych interesów, nie mający nic wspólnego z ich teoretycznymi poglądami.

Najbardziej ścisła z nauk społecznych — ekonomia polityczna — zaznaczyła już oddawna sprzeczność interesów ekonomicznych różnych klas. Już znakomity, przedstawiciel szkoły klasycznej — Ricardo — wykazał sprzeczność interesów właścicieli ziemskich, kapitalistów i ludności robotniczej; naukowy zaś socyalizm zbadał z ogromną ścisłością ekonomiczne antagonizmy najemców i najemników. Antagonizm ekonomiczny, skonstatowany przez ekonomię polityczną, musi też być wykazany w prawie. Praca Antoniego Mengera „Prawo cywilne wobec klas nieposiadających“ i para jeszcze innych dzieł w tym kierunku, które ukazały się podczas ostatnich lat dziesięciu, dowodzą, że przejawy czynników klasowych w prawie zwracają już na siebie uwagę badaczy.

* *

Ponieważ żywioł społeczny, posiadający władzę polityczną, odźwierciadla w prawie przedewszystkiem własne interesy i dążenia, dlatego to, aby zrozumieć charakter prawodawstwa jakiegokolwiek kraju, trzeba najpierw zwrócić uwagę na polityczną organizacyę jego, jakich sił społecznych jest ona wynikiem i komu nadaje władzę prawodawczą. Od prawa państwowego więc trzeba rozpocząć poszukiwanie czynników klasowych w prawie.

„Kwestye konstytucyjne nie są kwestyami prawa, ale kwestyami siły“ — powiada Lassal (Odczyt o istocie konstytucyi). Mybyśmy powiedzieli : „Kwestye konstytucyjne są kwestyami prawa, a jako takie są kwestyami siły“, gdyż zgodnie z Rudolfem v. Iheringem uznajemy, że każde prawo jest rezultatem siły*). Wszystkie wielkie zdobycze, zaznaczone przez historyę prawa : zniesienie niewolnictwa, poddaństwa, wolność własności ziemskiej, wolność zarobkowania, wyznania itd., wszystkie zmuszone były wytrzymywać na swej drodze okropne walki, które trwały stulecia i niweczyły prawo, bo tu się znosiło dawne prawo. W ten sposób prawo — to Saturn, pożerający swe dzieci. Na istniejącem prawie w ciągu długiego czasu opierały swe interesy tysiące ludzi, to też niepodobna znieść prawa, nie przyczyniwszy im istotnego uszczerbku. Znieść daną normę lub instytucyę—to wypowiedzieć wojnę wszystkim tym interesom, wyrwać polip z wielkiego organizmu, który się wessał weń tysiącami odrośli. Każde podobne doświadczenie wywołuje opór ze strony zagrożonych interesów, a więc i walkę, w której, jak i w każdej walce, otrzymuje przewagę nie przekonanie, ale *stosunek sił walczącyck stron*“.

Faktyczne ustosunkowanie sił w kraju działających stanowi o konstytucyi jego. Każdemu etapowi rozwoju ekonomicznego, wywołującemu powstanie lub upadek tych lub owych grup społecznych, odpowiadają pewne formy polityczne.

Słabo rozwinięta wymiana, obejmująca zaledwo nieznaczny odsetek corocznie wytwarzanych produktów, brak konkurencyi, przeważnie naturalna gospodarka, nareszcie tradycyjne sposoby wytwarzania — oto czynniki, które sprawiły, że stosunki ekonomiczne wieków średnich odznaczały się stałością. Szybkie wzbogacanie się jednych z powodu udatnej operacyi, bankructwo innych z powodu kryzysu finansowego — objawy, tak zwykłe za naszych czasów, były wówczas prawie nieznane. Stałość stosunków ekonomicznych prowadziła do tego, że panowanie jednych, zależne i poddańcze stanowisko innych przekazywały się dziedzicznie. Stałość stosunków dała im możność zaskrzepnięcia w pewne stałe normy prawne, a prawodawstwo określało prawo i przywileje każdej grupy. Klasy więc w okresie nierozwiniętych stosunków ekonomicznych były stanami t. j. grupami ludzi, połączonych nie tylko na mocy wspólnych interesów ekonomicznych, ale też i norm prawnych, określających prawa i przywileje danej grupy.

Wszystkie zgromadzenia lokalne, sejmiki średniowieczne nosiły stanowy charakter. Każdy stan załatwiał swe sprawy na sejmikach specyalnych : Synody (duchowieństwa), Rittertage (rycerstwa) i Stadtage (miast). Stanowemi były konfederacye, radzące o utrzymaniu pokoju i innych sprawach krajowych ; najczęściej były one zjazdem delegacyi nie wszystkich stanów, lecz tych, które albo były najbardziej zainteresowane w danej sprawie, albo tych, co — jak duchowieństwo — dążyły do przewództwa społecznego.

Walne sejmy średniowieczne, powstawszy z sejmików lokalnych i konferencyi stanowych, musiały też nosić charakter stanowy. Jak różnym jednak był stosunek sił różnych stanów w poszczególnych krajach Europy, w miarę tego jak ulegał w różnych czasach widocznym zmianom, zmieniał się też charakter reprezentacyi stanowej w różnych krajach : pewne stany traciły, inne zdobywały miejsce w reprezentacyi stanowej.

Stany najpotężniejsze pod względem społecznym : możnowładcy świeccy i duchowni, posiadający w swych rękach olbrzymie obszary kraju, zdołali wcześniej od innych stanów pozyskać udział w walnych sejmach i zająć tam panujące stanowisko. W daleko gorszem położeniu były miasta : udział ich w reprezentacyi stanowej nie był ani ogólnym ani też powszechnym. Tylko w niektórych kantonach Szwajcaryi (w Bernie i Zurychu) miasto stało się wyłącznym panującym stanem, wykluczającym inne od wpływu na losy kraju. Górowanie mieszczaństwa nad możnowładztwem dawało się zauważyć w niektórych prowincyach Belgii. W Hiszpanii również wystąpiły miasta w charakterze samoistnego członka reprezentacyi stanowej stosunkowo wcześnie (w XII w.). Tymczasem we Włoszech spotykamy udział miast zaledwie w XIV stuleciu, w Niemczech w końcu XIV w. spotykamy też przedstawicieli miast w sejmach, lecz z wielce ograniczonem prawem. Na północy i wschodzie Europy : w Danii, Szwecyi jak również w Czechach i na Węgrzech pierwiastek miejski wystąpił nieco później w sejmach i nie osiągnął tego wpływu i znaczenia, co w bardzi-

*) Rudolf v. Iherong w dziełku „Walka o prawo“ zwrócił uwagę na to, że zajmowano się dotychczas głównie szalami prawa, a nie mieczem.

rozwiniętych eko omicznie krajach zachodu i środka Europy.

W Polsce, której miasta ucierpiały od najazdów tatarskich w XIII i XIV st., a następnie zaludnione były przeważnie przez ludność napływową, obcoplemienną: niemców i żydów — udział miast w sejmach był nader nieznaczny, gdyż miasta nie obradowały na sejmie jako stan oddzielny. „Istnieją ślady — powiada p. Rembowski — „Konfederacya i Rokosz") pozwalające przypuszczać, że miasta brały udział w sejmach w końcu XV-go wieku. Na początku XVI-go stanowiska Krakowa w sejmie broni wytrwale i uporczywie Zygmunt I, a udział stołecznego miasta w sejmach zaprzeczyć się nie da. W roku 1568 Wilno zostało zrównane z Krakowem w zupełności, a tem samem do udziału w sejmach dopuszczone. Przywilej Wilna nie wynagrodził strat, płynących z wykluczenia miast pruskich, co nastąpiło około tegoż czasu. Pierwiastek mieszczaństwa był bowiem w Prusach silniej rozwiniętym i, w połączeniu ze stolicami Korony i Litwy, mógłby oprzeć się skuteczniej ograniczeniom prawodawczym, narzuconym przez egoizm szlachecki. Ustanie domu Jagiellońskiego jest epoką opuszczenia miast i upadku ich wpływów. Dopóki jednakże dom Jagiellonów na tronie zasiadał, król bez zezwolenia miast przywilejów znosić ani mógł, ani chciał, i pomimo nalegania stanu szlacheckiego, bez wysłuchania ich wzbraniał się. Widzimy więc w Polsce fakt, obserwowany i w innych krajach Europy, zwłaszcza we Francyi, — pewną opiekę, jaką królowie otaczali miasta, chcąc przez to stworzyć przeciwwagę groźnym dla nich stanom: rycerskiemu i duchownemu.

Zrozumiałem tedy jest, dlaczego monarchowie francuscy nie protestowali, gdy oprócz miast królewskich zaczęły posyłać swych reprezentantów do Rad Generalnych niektóre miasta dziedziczne, należące do możnowładztwa świeckiego lub duchownego. Łaska jednak królewska kończyła się tam, gdzie rozpoczynała się samodzielność miast. Monarchowie dawali poznać niedwuznacznie, że przedstawiciele miast są wezwani dla potwierdzenia propozycyi królewskiej, lecz nie dla badania jej. By mieć zapewnioną uległą reprezentacyę miast królewskich, urzędnik królewski wtrącał się do wyborów miejskich, czasami nawet sam posłów wybierał, często zaś czynił to z udziałem komuny; w każdym razie wpływ jego na wybory był znaczny.

W Szwecyi też monarchizm starał się opierać na miastach i na samodzielnych chłopach, których znaczna ilość zachowała się pomimo tego, że możnowładztwo gruntowe pozyskało zwierzchnictwo nad ludnością, osiadłą na jej obszarach. Otóż, ilekroć możnowładztwo stawiało opór zamiarom rządowym, król zwoływał pełnomocników miast i włości monarszych i przy pomocy tych żywiołów, skłonnych do uległości względem korony, przeprowadzał własny program polityczny.

W Szwecyi jednak konstytucya stanowa odznaczała się największą czystością i, z wyjątkiem 37-letniego okresu (od 1680 do 1718 król szwedzki był absolutnym monarchą), przetrwała aż do r. 1866, do otrzymania nowożytnej dwuizbowej reprezentacyi.

W większości krajów Europy, tak jak w Szwecyi, między stanową a nowożytną konstytucyą nastąpiła przerwa, którą wypełnia okres monarchii absolutnej. Po raz ostatni Rady Generalne były zwołane we Francyi w 1614 r., landtag w Prusach w r. 1643, w Bawaryi — 1669, w Austryi znaczenie stanów ziemskich zostało zachwiane jeszcze przez Ferdynanda II, w Danii w r. 1660 została zaprowadzona monarchia absolutna. Znaczenie feudałów upadło, nie mogą już oni posiąść władzy politycznej, lecz jeszcze ciążą nad miastami, co zmusza mieszczan do szukania przymierza z władzą monarchiczną. Mieszczaństwo, jeszcze zbyt słabe, by mogło panować politycznie, zgadza się na skoncentrowanie władzy w rękach monarchy. Lud wiejski, uciskany pańszczyzną, nadzieje pokłada w monarchach. Monarchizm staje się olbrzymią siłą, oddziaływającą na bieg spraw społecznych i państwowych. Siła jego polega na armii biurokratycznej, czerpiącej rozkazy u góry, i na armii żołdactwa, ślepo mu uległającej. Urzędy, które dawniej pełnili panowie feudalni albo ludzie, przez nich mianowani, w XVII w. zostały obsadzone przez rząd centralny, przez organ woli monarchy. Urzędnik mógł zrobić karyerę, podnosić się po drabinie biurokratycznej tylko służąc systemowi, stworzonemu przez rząd centralny, a więc pracując dla rozszerzenia, utrwalenia i wzmocnienia biurokracyi. Biurokracya w absolutnej monarchii staje się siłą, dążącą do opanowania wszystkich sfer społecznego życia.

Monarchia absolutna nie mogła na Zachodzie trwać wiecznie i niezmiennie. Nastąpiło ograniczenie władzy monarchicznej we wszystkich państwach Europy.

Początek dała Francya w końcu zeszłego stulecia starciem między władzą monarchiczną, kościołem i szlachtą — wszelkimi żywiołami uprzywilejowanymi z jednej strony, a burżuazyą, występującą w imieniu wszystkich uginających się pod jarzmem uprzywilejowanych. Od Wielkiej Rewolucyi francuskiej rozpoczyna się na całym kontynencie Europy dążność do form rządów reprezentacyjnych, w znacznej mierze klasowych, ale już nie stanowych. Za wzór Europie służyła konstytucya angielska. Dla tego to uważamy za niezbędne zatrzywać się nieco nad historyą konstytucyi angielskiej.

Władza polityczna Wilhelma Zdobywcy oraz pierwszych jego następców była o wiele znaczniejszą niż większości ówczesnych panujących feudalnej Europy. Jeżeli zwycięstwo przyczynia się do podniesienia powagi władzy zwycięzcy, to cóż mówić o zwycięstwie, owocem którego jest podbój całego kraju.

Gospodarując stosownie do swej woli w zawojowanym kraju, Wilhelm starannie unika niedogodnych stron stosunków feudalnych. Ponieważ wielcy lennicy są niebezpieczni dla suzerena, stwarza on leny stosunkowo niewielkie, posiadłości większych lenników rozrzuca w kilkunastu, a czasami kilkudziesięciu miejscach, co musiało utrudniać napad i obronę, następnie wymaga bezpośredniej przysięgi od podlenników, przez co czyni ich zależnymi głównie od panującego. Zbyt słabi dla oporu nawet suzerenowi, który nadużywaniem swej władzy wzbudzał opór, lordowie angielscy sprzymierzają się z ludnością miast. Dzięki temu przymierzu odnoszą zwycięstwo nad Janem Bez Ziemi i zdobywają w 1215 r. *Magna charta* (Wielką Kartę) — ów fundament politycznego ustroju Anglii, który zawiera postanowienia, odnoszące się nietylko do praw uprzywilejowanych, lecz również i wszystkich wolnych ludzi królestwa. Karta potwierdza przywileje Londynu oraz innych miast. Prawo posyłania swych przedstawicieli do parlamentu uzyskały miasta angielskie w 1265 r., gdy po zwycięstwie zwolenników Kartyi nad Henrykiem III, wiarołomnie Kartę naruszającym, zwołano parlament. Wówczas od miast Yorku, Linkolnu i innych wezwano po dwóch deputowanych, a od portów po czterech.

Fakta powyższe pozbawiają konstytucyę angielską cech stanowości. W tym samym kierunku oddziaływają warunki, w jakich rozwijała się w Anglii arystokracya. Arystokracya angielska, chociaż, dzięki prawom o majoratach i substytucyach, zachowała siłę społeczną przez dłuższy czas niż arystokracya na lądzie stałym, jednak, dzięki tym zwyczajom prawnym, nie mogła tak się

rozrodzić jak tamta, gdyż młodsi synowie lordów angielskich przechodzą do warstwy średniej. Częste wymieranie linii lordowskich odmładzało tę warstwę przybyszami ze średnich warstw narodu. Lecz, co najważniejsze, arystokracya angielska nie korzystała nigdy z przywileju niepłacenia podatków. Płacąc podatki, nie skłonną była zezwolić, by ich ustanawianie i rozporządzanie niemi zależało od dowolności monarchy; dbała więc o swój udział w ciałach prawodawczych. Tymczasem szlachta francuska, zwolniona od podatków w XV w., ustępuje Karolowi IV prawo opodatkowania innych klas, dając przez to środki królom na utrzymanie wielkiej armii.

Dzięki większej łączności arystokracyi angielskiej z innymi stanami, konstytucya angielska już w XIV st. przestaje być stanową. Od 1341 r. dostojnicy świeccy i duchowni tworzą Izbę lordów; rycerze zaś i mieszczaństwo w tym samym już czasie zespalają się w izbę gmin.

Trzeba było jednak pracy i walk, wypełniających całe stulecia, trzeba było ofiar z wolności i życia bojowników o prawa polityczne Anglii, trzeba było niejednokrotnie przypieczętować to prawo krwią królów i ministrów, by parlament angielski doszedł do tej siły i nieograniczonej władzy w kraju, jakie dziś posiada.

Ciężkie próby przebywał parlamentaryzm w Anglii. Za Tudorów parlament staje się ślepem narzędziem królów: skazuje ministrów, zmienia oficyalną religię kraju stosownie do woli króla. Pomimo istnienia form parlamentarnych, widzimy w Anglii takie przejawy absolutyzmu, jak sądy wyjątkowe. Więżą i sądzą członków opozycyi, znieważają ich — a to wszystko nie wywołuje znaczniejszego protestu. Zdaje się jak gdyby duch dawnych bojowników wolności angielskiej wygasł na czas pewien. Właściwie wygasła ta grupa społeczna, która była główną siłą w zdobywaniu praw politycznych; po walce „dwóch róż“ baronowie normandzcy stali się według angielskiego przysłowia „rzadsi niż wilcy“.

Izba wyższa, zaludniona przez kreatury królewskie, nie stanowiła poważnej przeszkody zachciankom panującego; izba gmin nie dorosła jeszcze do akcyi samodzielnej. Posługując się parlamentem do swych celów, Tudorowie szanowali formy parlamentarne, gdyż bał się narodu, który już przeszło dwa wieki korzystał z praw politycznych.

Próby Stuartów korzystania z władzy Tudorów skończyły się skazaniem Karola I (1649 r.). Nastała rzeczpospolita, nietrwała z samej natury swego powstania; nie była ona bowiem celem głównych żywiołów społecznych ówczesnej Anglii, ale tylko skutkiem zwycięstwa nad królem, pragnącym rozszerzyć swe przywileje kosztem praw kraju. Gdy brakuje żywiołów społecznych, zdolnych do opanowania spraw politycznych, wówczas następuje panowanie armii, jedynej uorganizowanej siły w kraju. Armia więc zapanowała nad Anglią. Pierwsze pięć lat rządzą szczątki t. z. „długiego parlamentu“ z władzą wykonawczą przez siebie wybraną. Lecz od tego oficyalnego rządu jest silniejszy nieoficyalny — „rada oficerów“. Dzięki tylko Kromwelowi, armia jest posłuszna czas jakiś parlamentowi. Następnie podług woli Kromwela rozpędza parlament (1653 r.), i Kromwel, któremu w 1563 r. ofiarowano tytuł protektora, rządzi samowładnie, opierając się na armii. Po śmierci Kromwela władza protektorska na mocy testamentu przeszła na syna jego, Ryszarda, nie posiadającego takiego znaczenia w armii. Parlament, zwołany przez niego, zostaje rozpędzony przez armię za to, że kusił walczyć z jej pretensyami. W r. 1660 wraca konstytucyonalizm w Anglii razem z królem Karolem II z dynastyi Stuartów. Lecz dynastya ta okazała się niezdolną do przestrzegania praw angielskiej konstytucyi i w 1688 r. w osobie króla Jakuba zostaje pozbawioną tronu, na który został powołany Wilhelm ks. Oranii.

Historya angielskiej konstytucyi do XVIII wieku przedstawia szereg walk między królem i parlamentem.

Parlament angielski, z wyjątkiem krótkiego okresu rewolucyi, był zawsze dwuizbowym. Oba te ciała prawodawcze nie miały z sobą zatargów. W pierwszym okresie angielskiej konstytucyi izba gmin poddawała się chętnie przewodnictwu lordów, stojących na czele ruchu politycznego. W epoce upadku politycznej siły lordów, za Tudorów, widzimy większą skłonność ku reformacyi w izbie niższej, złożonej wyłącznie z elementów świeckich, niż wyższej, gdzie znaczny wpływ posiadali biskupi i opaci. Tylko stosunkowa słabość polityczna parlamentu w tym okresie nie dawała gruntu obu izbom do wzajemnej walki o władzę. W epoce Stuartów daje się zauważyć pewien antagonizm między izbami, i okres rewolucyjny rozpoczyna się jednoizbowym parlamentem. Od początku okresu, w którym cała polityczna władza kraju przenosi się do parlamentu, t. j. od początku XVIII st. obie izby składają się z jednych i tych samych elementów. Tam i tu zapanowała arystokracya, wytworzona ze średniowiecznej gentry. Skupiła się ona w warstwie nielicznej, oddzielonej od reszty społeczeństwa przez zanik mniejszej i średniej własności ziemskiej. Nowe miasta — ogniska nowego wielkiego przemysłu — otrzymały prawo wyborcze dopiero w r. 1832. „Zgniłe mieściny“ — dawniejsze podupadłe miasta i miasteczka, które otrzymały były prawa wyborcze, by wysyłać kreatury królewskie, zaczęły posyłać posłów, wskazywanych im przez lordów.

Odkąd faktycznie całą władzę posiadł parlament i gabinet, zależny od izby gmin, prawo mianowania parów, należące do monarchy, daje możność ministeryum, posiadającemu zaufanie w izbie niższej, przez mianowanie nowych parów wytworzyć taką większość w izbie wyższej, która by nie pozostawała w kolizyi z niższą. W ten sposób jeden z ważnych organów wpływu władzy monarchicznej odziedziczyła izba niższa, instytucya coraz bardziej demokratyzująca się.

Do r. 1832 z pomiędzy 658 członków izby niższej tylko 171 nie pochodziło z ramienia arystokracyi. Dziwnem się nawet może wydawać, dlaczego burżuazya angielska, klasa tak silna pod względem ekonomicznym, organizatorka olbrzymiej produkcyi, zadawalniała się tak szczupłym udziałem w parlamencie. Da się to objaśnić tem, że arystokracya angielska ze względu na swą świetną przeszłość polityczną cieszyła się znacznem zaufaniem społecznem, co przeciwdziałało uświadomieniu antagonizmów klasowych w całej pełni, tak samo jak heroiczna historya francuskiej burżuazyi od końca XVIII w. aż do rewolucyi lutowej 1848 r. włącznie przyczyniła się w dość znacznej mierze do czasowego zatarcia politycznego antagonizmu burżuazyi a klasy robotniczej. Potrzeba było krwi robotniczej, przelanej w roku 1848-ym podczas dni czerwcowych i w r. 1871-ym podczas zdławienia komuny, by zmyć maskę, okrywającą antagonizmy klasowe burżuazyi i klasy robotniczej.

Anglia nie znała krwawych zatargów między arystokracyą a burżuazyą. Przeciwnie arystokracya angielska, by utrzymać władzę polityczną, postępowała nader oględnie i zaspakajała główne żądania burżuazyi Od końca XVIII w. widzimy w Anglii cały szereg reform z dziedziny polityki ekonomicznej, odpowiadających interesom i życzeniom burżuazyi. Traktat handlowy z Francyą w 1786 r. jest już lekkiem złagodzeniem systemu protekcyjnego. Od 1820 — 1832 r. wydano w Anglii cały szereg praw w duchu wolnego handlu, zgodnie z petycyami różnych korporacyi kupców i przemysłowców angielskich. Widzimy więc, że klasa,

która nawet nie posiada dostatecznego udziału w ciałach prawodawczych, może w pewnej mierze odbić swe dążenia w prawie.

Mogła jednak burżuazya angielska do czasu kontentować się szczupłym udziałem w parlamencie. Trwało to dotąd, dopóki nie zaostrzył się jej antagonizm względem arystokracyi, posiadającej w swych rękach niemal całą własność ziemską. Kością niezgody stały się prawa zbożowe, ów podatek wypłacany przez całe społeczeństwo właścicielom ziemskim. Wówczas burżuazya angielska gotowa była z orężem w ręku walczyć o rozszerzenie swych praw politycznych. Reforma 1832 r. nadaje prawo wyborcze wielkim miastom i odbiera je „miasteczkom kieszonkowym“ arystokracyi wiejskiej. Prawo 1835 r. rozwiązuje w starych miastach korporacye zamknięte, które sprzedawały swe głosy wielkim panom. W 1838 roku zmieniony zostaje przywilej wybieralności, dotychczas opartej na własności ziemskiej. Wszystkie te reformy dają burżuazyi przewagę polityczną, owocem czego było w pierwszym rzędzie zniesienie praw zbożowych 1846 r. t. j. otwarcie rynków wewnętrznych dla zagranicznego zboża.

Dalszy rozwój konstytucyi angielskiej polegał na jej stopniowej demokratyzacyi. Reforma 1832 roku zwiększyła ilość wyborców z 400.000 na 1 milion: 1867 r. — z miliona na trzy; wreszcie reforma 1885 powołała do urny wyborczej dwa miliony drobnych mieszczan, chłopów i lepiej płatnych robotników.

Obecnie Anglia staje u progu powszechnego prawa wyborczego, którego domagał się proletaryat angielski w piątym lat dziesiątku, lecz którego potrzebę następne pokolenia proletaryatu niedostatecznie uwzględniały, pochłonięte przez walkę na polu wyłącznie ekonomicznem.

Na konstytucyi angielskiej wzorowały się konstytucye europejskie, lecz bezwarunkowo każdy kraj zapożyczył z instytucyi angielskich to, co odpowiadało interesom klas społecznych, przeważny wpływ wywierających na formę polityczną danego kraju. Dlatego to całkiem niewystarczającem jest wyjaśnienie przyczyn dwuizbowych parlamentów w Europie przez to, że formy polityczne krajów kontynentu wzorowały się na dwuizbowym angielskim parlamencie (podobne wyjaśnienie spotykamy np. u Seignobosa w Historyi XIX st.). Naiwnem też wyjaśnienieniem istnienia izby wyższej jest twierdzenie, tułające się u niektórych profesorów prawa państwowego, że izba wyższa musi tamować zbyt szybki postęp (podobne twierdzenie spotykamy u Okolskiego w jego „Ustroju państw europejskich“).

Postęp — to zwiększanie się tych czynników, co dobrobyt całemu społeczeństwu mogą zapewnić w bliższej lub dalszej przyszłości; postęp to wzrost oświaty w społeczeństwie. Dążenie do postępu jest tak naturalnem i rozumnem, że całe społeczeństwo byłoby niem ogarnięte, jeżeli by społeczeństwo składało się z żywiołów o harmonijnych interesach. Lecz składa się ono z klas, których interesy są sprzeczne. Postęp społeczny, przejawiający się we wzroście oświaty i społecznej świadomości klasy robotniczej, ujemnie się odbija na interesach klas wyższych. Postęp społeczny, każdy krok jego, zbliżający ludzkość do ogólnego dobrobytu, jest krokiem do klasowego zgonu pewnych żywiołów społecznych. Arystokracya np. czuje swoje konanie klasowe. W przeszłości posiadała ona władzę znaczną, panowała przez długie wieki wespół z kościołem katolickim, z nim też historycznie sprzymierzyła się. Restauracya przeszłości, zatamowanie dążeń ku lepszej przyszłości — oto cel tych społecznych żywiołów. Rzetelna nauka społeczna wydaje się im szkodliwą (ona szkodliwość ich wykazuje); nauka przyrodnicza — podejrzaną ze względu na swe filozoficzne konsekwencye.

Klasy te były silne wówczas, gdy wytworzyły się nowożytne konstytucye europejskie, dlatego też utrzymały one swój własny polityczny organ — izbę wyższą

Austryacka izba panów składa się podług prawa z 1867 r.: 1) z książąt krwi pełnoletnich, 2) z właścicieli ziemskich krajów koronnych, którym cesarz nadał tę godność dziedzicznie (w 1885 było ich 64) 3) z 10 arcybiskupów i 7 biskupów, następnie z ludzi, mianowanych przez cesarza dożywotnie. Jednem słowem arystokracya, duchowieństwo i kamaryla dworska są to czynniki, składające się na austryacką izbę panów. O ile jednak ministeryum w Austryi jest parlamentarne, o tyle może obezwładnić reakcyjne tamy, stawiane przez izbę panów, mianując nowych członków.

Skład austryackiej izby panów jest w znacznej mierze typowym dla wielu państw europejskich. Biskupi, arcybiskupi i książęta krwi zasiadają w izbach wyższych Węgier, Hiszpanii, Portugalii, Włoch, Bawaryi, Saksonii, Wirtembergu, Badenu i Hesyi; we wszystkich tych krajach znaczny procent członków izby wyższej mianuje dożywotnie monarcha.

Wielce charakterystycznem zjawiskiem jest to, że prawo należenia do izby wyższej z tytułu samego urodzenia nie zdołało przyjąć się w państwach kontynentalnych Europy, — chociaż próby dziedzicznego parostwa były czynione w różnych krajach Europy. Np. Węgry posiadały izbę magnatów, której organizacya datowała się od 1608 r. Prawo należenia do niej mieli wszyscy książęta, baronowie i hrabiowie. Ale znaczny procent arystokracyi wobec zmienionych warunków ekonomicznych uległ bankructwu i był tylko utytułowanym proletaryatem. Burżuazyjne porządki, które podkopały zamożność arystokracyi, wprowadziły zasadę cenzusu do izby wyższej. Podług prawa z 1885 r. członkami dziedzicznymi izby wyższej mogą być tylko ci utytułowani, którzy opłacają rocznie podatku gruntowego przynajmniej 5.000 guld.

Prawo państwowe wielu krajów, jak np. Włoch, Portugalii i Hiszpanii przystosowało izbę wyższą w znacznej mierze do warunków kapitalistycznego społeczeństwa. Widzimy też, że grandowie hiszpańscy posiadają prawo zasiadania w izbie wyższej, gdy mają dochodu 6.000 pesetas; połowa zaś senatorów jest wybieralna przez różne instytucye z najwyżej opodatkowanych. W Portugalii obieralni parowie w liczbie pięćdziesięciu (stanowiący więc prawie trzecią część izby wyższej) muszą posiadać majątek, przenoszący 11.000 fr. We Włoszech jedną z kategoryi członków izby wyższej stanowią obieralni senatorowie z osób najwyżej opodatkowanych, mianowicie takich, które od trzech lat płacą ze swej własności lub przemysłu 3.000 lirów.

W czysto burżuazyjnych państwach Niderlandów: w Holandyi i Belgii aż do reformy z 1883 r. izby wyższe były wyłącznie organami wielkiej burżuazyi. Podług konstytucyi Holandyi z 1848 r. pierwsza izba składa się z 39 członków, wybieranych z liczby osób najwyżej opodatkowanych (§ 18). W tym celu w każdej prowincyi winna być utworzona lista najwyżej opodatkowanych w ten sposób, ażeby jeden zamieszczony na niej przypadał na 3000 mieszkańców. Lecz organem najbardziej burżuazyjnym, najbardziej odpowiadającym interesom wielkiej burżuazyi, była wyższa izba w Belgii przed reformą wyborczą z r. 1893. Cenzus wyborczy do senatu równał się 2116 fr. podatków skarbowych, wskutek czego w 1833 r. w Belgii było tylko 403 osób, posiadających prawo wybieralności do senatu*).

*) Konstytucya 1893 r. zmniejszyła znacznie cenzus obieralności (do 1200 fr.)

Wysoki cenzus wyborczy izby wyższej sprawia, że wielka burżuazya, której interesy są częstokroć sprzeczne z interesami drobnej, posiada odrębny organ prawodawczy dla obrony swych interesów.

Izba wyższa wszędzie jest instytucyą konserwatywną, t. j. stojącą na straży istniejącego porządku, dla przeciwdziałania reformom, mającym na celu poprawę bytu klas upośledzonych. Dziedziczne parostwo, krew książęca, dostojeństwa w kościele, wysoki cenzus nadają tej izbie jej konserwatywny charakter. Do tego dodać jeszcze należy wymaganie znacznie starszego wieku, niż ten, który stanowi warunek obieralności do izby niższej.

Wiek deputowanego ma też pewne znaczenie, gdyż z wiekiem przesiąka człowiek zazwyczaj swymi klasowymi interesami.

Konserwatywny charakter izby wyższej osiąga się najczęściej i przez pośrednie wybory jej członków. Widzimy też, że podług konstytucyi belgijskiej z 1893 r. znaczna ilość senatorów obiera się przez rady prowincyonalne. We Francyi senatorowie obierają się przez zgromadzenie wyborcze w głównem mieście departamentu; zgromadzenie to składa się z deputowanych departamentu, radców jeneralnych departamentu, radców okręgowych i z delegowanych od gmin, obranych przez rady gminne. Aby więc proletaryat francuski mógł zdobyć dla swych przedstawicieli miejsce w senacie, musi zdobyć wszystkie instytucye lokalne, co jest rzeczą bardziej trudną, niż zniesienie senatu. W Holandyi członkowie drugiej izby są wybierani przez sądy prowincyonalne na lat 10 i odnawiają się w trzeciej części co trzy lata.

Konserwatywny i klasowy charakter drugiej izby zaznaczają doskonale praktyczni politycy. „Druga izba — to instytucya, której istnienia najbardziej wymagają konserwatywne interesy, któreście mi powierzyli i od obrony których ja nigdy nie odstąpię“, mówił prezydent Mac-Mahon w Zgromadzeniu Narodowem 1875 r.

Klasowy charakter izby drugiej potwierdza i to, że w krajach, gdzie historya nie wytworzyła wielkiej własności ziemskiej, a rozwój stosunków ekonomicznych — wielkiej burżuazyi, spotykamy jednoizbowe ciało prawodawcze (Bulgarya, Serbia i Czarnogórze). Jednoizbowym co do wyborów jest parlament Norwegii, kraju drobnej własności. Norweski Storting (wielka rada) przedstawia jedną całość i wybiera się odrazu; następnie wydziela on z pośród siebie jedną czwartą deputowanych, którzy tworzą drugą izbę.

Dwie izby mają racyę bytu tylko w państwach związkowych, jak w Szwajcaryi i Stanach Zjednoczonych, gdzie jedna izba zawiera reprezentacyę, odpowiadającą liczbie ludności każdej prowincyi, druga reprezentuje w równym stopniu każdą prowincyę. Podobny układ państwowy gwarantuje poniekąd nienaruszalność słusznych interesów mniejszych prowincyi.

W uzupełnieniu tego, cośmy mówili o izbach prawodawczych Europy, dodać musimy, że kompetencya izby niższej jest obecnie we wszystkich niemal parlamentach Europy bardziej szeroką, niż kompetencya izby wyższej; uchwalenie budżetu i wszelkie uchwały finansowe należą wyłącznie do izby niższej. Sama forma mianowania pewnej ilości członków izby wyższej, spotykana w wielu krajach Europy, daje możność izbie niższej wpływać na skład izby panów. Wobec tego znaczenia izby niższej burżuazya usiłowała stworzyć z niej własny organ polityczny. Ustanowiła więc zasadę cenzusu wyborczego, by wyłączyć klasę robotniczą a nawet niekiedy drobnomieszczaństwo od udziału w prawodawstwie. Teoretyk burżuazyjnego prawa politycznego, Benjamin Constant, domagał się; by tylko ludzie majętni byli wyborcami i posłami motywował to tem, że tylko własność daje niezależność i jasność umysłu (les lumières), niezbędną dla wyborów, wówczas gdy nie posiadający mają jedyny cel stania się właścicielami. „Ludzie majętni, powiada dalej, posiadają wykształcenie bardziej poważne, wychowanie lepsze, jako oświeceni są obcy przesądom, jako bardziej moralni (!) pogardzają przestępstwem, jako przemysłowcy są wrogami politycznych wstrząśnień“.

Rozpatrując przejawy czynników klasowych w różnych gałęziach prawa, zobaczymy, jak ci „ludzie moralni“ bronili w parlamencie wyzysku sił dzieci na fabrykach, chociaż ten wyzysk graniczył z zabójstwem i prowadził do zwyrodnienia rasy; zobaczymy, jak ci ludzie moralni byli zwolennikami kar hańbiących, budzących większy wstręt niż samo przestępstwo, zobaczymy, jak przedstawiciele ludzi bogatych, a więc, podług Constant'a, wolnych od przesądów, byli niejednokrotnie wrogami oświaty ludu.

Gdy powstały konstytucye większości państw Europejskich (około 1830 r.), wszystkie oparte były na wysokim cenzusie wyborczym. Gdyby burżuazya zdołała zachować swe prawo cenzusu w postaci niezmiennej, w takiem razie w miarę rozwoju kapitalizmu, pociągającego upadek drobnej i średniej własności, prawa polityczne stawały by się udziałem coraz nieznaczniejszej grupy osób, która by panowała nad społeczeństwem — proletaryuszem, aż cały ten ustrój padł by w gruzy wraz z pasożytniczą cywilizacyą. Lecz rozwój ludzkości poszedł szczęściem dla niej inną drogą, skierowany na nią przez parcie ruchu robotniczego. Konstytucye europejskie stale rozwijają się, a rozwój ten polega głównie na ich demokratyzacyi. Przed 40 laty żadne państwo w Europie z wyjątkiem Szwajcaryi nie posiadało powszechnego i równego prawa wyborczego. Dziś Francya, Niemcy, Hiszpania, Portugalia i Belgia posiadają powszechne prawo wyborcze, angielska konstytucya swym małym cenzusem zbliża się do niego.

Prawo to uzyskano jednak za cenę nieraz bardzo ciężkich ofiar klasy robotniczej, która wcześniej czy później zdobędzie we wszystkich krajach jedyną odpowiadającą jej interesom formę prawa wyborczego — powszechne, równe, bezpośrednie i tajne głosowanie.

Veto.

FARSA SŁOWIAŃSKA

Hasła panslawistyczne należały u nas dotychczas do najbardziej niepopularnych. Nie było u nas, właściwie mówiąc, grupy, roszczącej pretensye do wpływów poważniejszych na społeczeństwo, któraby ośmieliła się otwarcie wywieszać sztandar panslawistyczny. Sympatye słowiańskie, bezwątpienia istniejące w Polsce, przybrały skromny charakter wąziutkiego prądu literackiego, który z polityką nic nie miał wspólnego. Tłomaczono płody piśmiennictw pobratymczych, przedewszystkiem czeskiego, i tem ograniczały się wszystkie stosunki realne ze słowianami. Od czasu do czasu ktoś w pismach dzielił się swemi wrażeniami z wycieczki po Słowiańszczyźnie i na tem koniec. Jedynym niemal wyobrazicielem t. z. wzajemności słowiańskiej był u nas znany pisarz p. Bronisław Grabowski. Ogół nasz inteligentny ma o Słowiańszczyźnie tak słabe pojęcie, że wprost można by zakwestyonować wszelkie zainteresowanie się jego sprawami słowiańskiemi.

Ale od bardzo niedawnego czasu jesteśmy świadkami zjawiska całkiem nowego i oryginalnego. Oto

z Galicyi od kilku tygodni dochodzą nas głosy, jakich dotychczas nigdy nie słyszeliśmy : „Niech żyje solidarność słowiańska!“, „Niech żyje braterstwo polsko-czeskie!“. Urządzają się wiece słowiańskie, do Krakowa zjeżdżają się posłowie młodoczescy, chorwaccy i t. d. Hymn legionów, czeskie „Kde domów mój“ brzmią na przemiany z hymnem austryackim. Pisma galicyjskie, za niemi poznańskie i nawet organy prasy polskiej zaboru rosyjskiego przepełnione są artykułami w duchu słowianofilskim, a każdy, kto się tylko odważa sceptycznie zapatrywać się na te nagłe wybuchy uczuć słowiańskich, ogłaszany jest za zdrajcę i piętnowany jako człowiek, wyzuty z uczuć patryotycznych.

Jeśli przyjrzymy się bliżej wszystkim tym objawom, to odrazu musi nas wprawić w zdumienie ich wprost niezrozumiała nagłość. Ci sami ludzie, którzy jeszcze przed paru laty głosowali w parlamencie austryackim za nałożeniem kajdan stanu wyjątkowego na „braci Czechów“, raptem poczynają wygrywać bardzo czułe melodye na strunach miłości do Słowiańszczyzny wogóle, a do Czechów w szczególności. Takie pisma, które jeszcze przed kilku miesiącami na każdym kroku wietrzyły w Słowiańszczyźnie propagandę panslawistyczną za ruble moskiewskie, rozpisują się w dziesiątkach artykułów o potrzebie miłości wzajemnej pomiędzy słowianami, o wspólności walki politycznej ze wspólnym wrogiem itp.

Cóż to za przyczyna wywołała nagle tę „erę słowiańską“?

Może potrafimy odpowiedzieć na to pytanie, jeśli przyjrzymy się bliżej ludziom, którzy stoją na czele tego nowego prądu. W tym celu musimy w kilku słowach potrącić o całą tę „erę Badeniego, która jak zmora dusiła przez tyle czasu zabór austryacki. Z zamieszczonego powyżej artykułu „Upadek Badeniego“ nasi czytelnicy wiedzą już o głównych momentach działalności tego Hurki austryackiego. Streścimy więc tu tylko pokrótce rezultaty panowania Badeniego.

Za czasów Badeniego zabór austryacki nie uzyskał żadnych ustępstw chociażby np. w kierunku rozszerzenia praw języka polskiego na kolei, w żandarmeryi itd. Nawet sprawa gimnazyum cieszyńskiego nie została załatwiona według woli całego społeczeństwa polskiego. Gimnazyum cieszyńskie nie zostało przyjęte na koszt państwa i nawet przyznanie mu prawa publiczności zostało uzyskane dopiero po całym szeregu pertraktacyj różnych sfer z rządem, kiedy dalsze przewlekanie tej sprawy byłoby już krzyczącym skandalem. Z ministeryum Badeniego wyszedł słynny okólnik w sprawie języka niemieckiego na kolejach, co świadczy wprost o giermanizacyjnych tendencyach tego ministeryum. Ministeryum Badeniego prowadziło wytrwale i systematycznie, proces gnębienia wszelkich objawów ruchu ludowego tego ruchu, który jedynie może wyprowadzić austryacką część Polski z jej opłakanego położenia. Jednem słowem Badeni, jako minister, dla polskości i kraju nie uczynił literalnie nic a nic pożytecznego.

Tymczasem, kiedy takie ministeryum — ministeryum, ściągające nicnawiść na polaków w całej Austryi, a dla Galicyi wręcz szkodliwe, zmuszone było ustąpić wobec groźnego niezadowolenia mas ludowych, w Galicyi wszczął się hałas niesłychany.

Z człowieka, który nigdy niczem nie zaznaczył w polityce przychylności dla polaków, Badeni raptem wyrósł na bohatera narodowego, a upadek jego nazwano klęską narodową, która pomału urosła do rozmiarów „klęski ogólno słowiańskiej“.

Zbankrutowani exdemokraci młodoczescy, widząc, że z ustąpieniem Badeniego grunt im z pod nóg się usuwa, postarali się użyć „solidarności słowiańskiej“ jako ostatniej deski ratunku. I oto z obozu młodoczeskiego, skoalizowanego z „Kołem“ polskiem, wychodzi inicyatywa do całego szeregu manifestacyi słowiańskich.

Ludzie, którzy w ciągu długiego szeregu lat prowadzili politykę prostytucyjną, sprzedając się każdemu z kolei rzadowi, nagle udają opozycyę — jak to uczyniło „Koło“ polskie. Ludzie, którzy wyrzekli się wszystkich dażności wolnościowych, jakim jeszcze przed paru laty hołdowali, poczynają na gwałt krzyczeć o ucisku — jak młodoczesi. Ludzie, którzy stale prowadzili i prowadzą najwstrętniejszą propagandę serwilizmu względem caratu i nienawiści do polaków — jak południowi słowianie — ni z tego, ni z owego wyrażają chęć padania polakom w objęcia.

Już sam skład czynników, które podjęły inicyatywę w sprawie manifestacyi słowiańskich, dostatecznie świadczy o reakcyjności tych manifestacyi. Osoby zaś, którym poruczono przeprowadzenie praktyczne tej sprawy, jeszcze bardziej to potwierdzają. Któż stoi na czele tych manifestantów słowiańskich? Oto w pierwszej linii p. Ehrenberg, redaktor rewolwerowego pisemka, którego nikt (nie wyłączając posługujących się nim sfer) chyba za człowieka uczciwego nie może uważać. Następnie taki dr. Dobija — kryminalista w najzwyklejszem tego słowa znaczeniu, taki ks. Paweł Sapieha, któremu tak bardzo niedawno pisma patryotyczne w Galicyi zarzucały zaprzaństwo narodowe, taki ks. Stojałowski, który coraz bardziej grzęźnie w kałuży, carofilstwa itd.

Ze strony Czechów głównymi kierownikami manifestacyj słowiańskich są tacy ludzie jak Horzyca, który przed 2 laty zorganizował dobrze się rozwijającą agitacyę antypolską w całych Czechach, udowadniając, że polacy chcą zagrabić czechom kraj, do nich należący — mianowicie Cieszyńskie. Wówczas to „Nowa Reforma“, a za nią cała prasa polska, poczynając od „Kuryera Lwowskiego“ a kończąc na „Ateneum“, ogłosiła p. Horzycę za bandytę narodowego, za coś w rodzaju hakatysty czeskiego. Dziś ta sama prasa przyjmuje tegoż hakatystę czeskiego jako najlepszego przyjaciela polaków. Obok Horzycy w Krakowie ukazuje się i jest przedmiotem owacyi taki p. Ryba — korespondent „Narodnich Listi“, który w r. 1894 prowadził agitacyę za tem, ażeby czesi nie zjawiali się na wystawie krajowej we Lwowie, człowiek, który informował czytelników najbardziej rozpowszechnionego pisma czeskiego o stosunkach naszych na podstawie słów redaktorów lwowskiego „Hałyczanyna“, pisma, wydawanego za pieniądze rządu moskiewskiego. Przedmiotem manifestacyi słowiańskich jest taki godny kamrat Abrahamowicza jak p. Kramarz, którego artykuły w kwestyi polskiej, drukowane w „Czasie“ (czeskim), wzburzyły opinię nawet mało z nami sympatyzujących czechów i spotkały się z jednogłośnem potępieniem prasy polskiej, a zachwytem „Moskiewskich Wiedomostiej“.

Otóż ci ludzie, którzy, właściwie mówiąc, zionęli nienawiścią do polaków, raptem wylewają łzy rozczulenia nad „braterstwem“ polsko-czeskiem, wznoszą toasty na cześć polaków i wszelkimi sposobami starają się im pokazać swą miłość.

Rozumiemy jeszcze młodoczechów, którzy z upadkiem Badeniego muszą się rozstać z nadzieją na przewodzenie nadal w społeczeństwie czeskiem. Rozumiemy „Koło“ polskie, które z upadkiem Badeniego traci możność łatwego zaspokojenia swych interesów prywatnych. Ale skąd przychodzi całe społeczeństwo polskie do tego, ażeby klęskę Badeniego, młodoczechów i „Koła“ polskiego uważać za klęskę narodową, za jakąś klęskę słowińską? Czyżby istotnie w zapewnieniach aranżerów manifestacyi słowiańskich była jakaś cząstka prawdy?

Rozpatrzmy więc sprawę sympatyi słowiańskich zasadniczo. Dla nas, jako socyalistów, sprawa ta jest najzupełniej jasną. My uznajemy tylko sympatyę klas — ciemiężonych z ciemiężonemi, ciemiężących z ciemiężącemi. W naszym programie żadnych specyalnie słowiańskich sympatyj nie ma i być nie może. Robotnik czeski, słoweński lub chorwacki jest takim samym naszym bratem jak robotnik polski, jak zresztą robotnik niemiecki, angielski lub murzyński. Że po między klasą pracującą polską a czeską nie ma żadnych waśni, najlepiej udowodnili nasi towarzysze śląscy, wybierając w Cieszyńskiem na posła do parlamentu — *czecha* tow. Cingra.

Ale sprobujmy spojrzeć na te manifestacye słowiańskie i ich pobudki ze stanowiska tego, na jakiem rzekomo stoją ich aranżerowie. Spojrzmy na nie ze stanowiska czysto narodowego.

Nie będę się tu rozwodził dłużej, postaram się tylko odpowiedzieć na pytania:

1. Czy istnieją jakieś ogólno słowiańskie interesy? i

2. Czy polityka „słowiańska" leży w interesie polaków?

Jeśli się przyjrzymy wzajemnym stosunkom poszczególnych narodów słowiańskich, to zobaczymy, że niema dwóch plemion, któreby nie toczyły ze sobą walki zawziętej, lub nie zionęły ku sobie nienawiścią.

Na południu słowiańskiem serbowie i bulgarowie wciąż spierają się o różne terytorya, z których Macedonia prawdopodobnie na bardzo długo pozostanie kością niezgody pomiędzy tymi dwoma „bratnimi" plemionami, które pomimo pokrewieństwa krwi nie wahają się zalewać jedno drugiemu sadła za skórę, jak to było przed kilkoma laty, kiedy bulgarowie pobili serbów pod Sliwnicą.

Jeszcze większą nienawiścią pałają względem siebie serbowie i chorwaci, pomimo że ich nawet język nie dzieli. Nienawidząc serbów, chorwaci jednocześnie mają wielki apetyt na „bratnich" słoweńców, pragnąc ich pochłonąć i przerobić na chorwatów.

Czuła miłość rusinów galicyjskich do polaków zanadto jest znana, ażebym się tu miał nad nią rozwodzić. Nie potrzebuję też chyba wspominać o „braterskich" stosunkach Rosyi do Polski, zatrzymam się tylko nieco dłużej nad wzajemnymi stosunkami czechów i polaków — narodów, które obecnie miały wrzekomo połączyć się w sojusz braterski przeciwko wspólnemu wrogowi.

Rozpatrzmyż, jak wyglądał dotychczasowy stosunek Czechów do Polaków. Mamy kraj, gdzie polacy stykają się z czechami stale — t. j. Cieszyńskie. Otóż jeśli byśmy chcieli scharakteryzować stosunek Czechów do Polaków na Szląsku cieszyńskim, to nie moglibyśmy go nazwać inaczej, jak wrogim.

Czesi (t. j. patryoci młodoczescy) postępują na Szląsku tak samo, jak rząd moskiewski na Litwie, systematycznie dążąc do zczechizowania ludności polskiej, używając przytem środków wprost badeniowskich: gwałtu, przekupstwa itd. W gminach, gdzie jest zaledwie kilkunastu czechów, przeważnie urzędników prywatnych i wogóle inteligentów, gdzie cała ludność jest polską, starają się oni wprowadzić język czeski do szkół. Mamy już kilkanaście gmin takich, gdzie ludność polska zmuszona jest uczyć swe dzieci w języku czeskim.

Mamy przed sobą pismo „Głos ludu szląskiego", pismo antysocyalistyczne, o charakterze wybitnie patryotycznym, które piętnuje antypolskie postępowanie czechów na Szląsku — właśnie w tym czasie, kiedy w Krakowie rozlegają się hymny na cześć braterstwa polsko-czeskiego. Pismo to powiada: „... oświadczamy, że jeżeli czesi w tym kierunku dale postępować zamyślają, wtenczas szukać musimy poparcia u niemców i razem z niemcami rozpoczniemy walkę przeciw naszemu niby to bratniemu narodowi ... najniebezpieczniejszym wrogiem są dla nas czesi i czesi krzywdzą nas o wiele więcej, aniżeli nasz dotychczasowy wróg — albowiem na taką bezczelność, na jaką pozwalają sobie czesi, nie pozwolili sobie dotychczas ani niemcy".

Agitacya w celu zczechizowania Cieszyńskiego prowadzona jest wytrwale i systematycznie. W Cieszynie założono w tym celu specyalne pismo, a po całych Czechach gromadzą się składki dla „zagrożonych" gmin czeskich na Szląsku.

Na czele tej antypolskiej agitacyi stoi członek redakcyi „N. Listów", poseł Horzyca, tak serdecznie dziś w Galicyi przyjmowany.

Cieszyńskie jest jedynym punktem, gdzie polacy z czechami stykają się bezpośrednio. Zobaczmy teraz jak stoją sympatye czesko-polskie tam, gdzie chodzi tylko o prostą sprawiedliwość, o uczciwe traktowanie narodu gnębionego.

Spojrzmy na stosunek młodoczeskiej inteligencyi do polaków w zaborze rosyjskim. Główny organ młodoczeski „Narodni Listy", prowadząc w ciągu kilkunastu lat najwstrętniejszą propagandę serwilizmu względem caratu, nie mógł, ma się rozumieć, ominąć stosunku Rosyi do Polski. Jakież było jego stanowisko? Oto, jeżeli powiemy, że stanowisko „Warszawskiego Dniewnika" w porównaniu do stanowiska „N. Listów" było objektywne, to najlepiej w ten sposób określimy „braterskie" uczucia młodoczechów do polaków.

„Narodni Listy", wychwalając system rosyjski, zawsze wszelkiemi siłami starały się udowodnić, że Rosya postępuje z polakami całkiem słusznie i sprawiedliwie. W tym celu nie wahały się wprost zmyślać fakty, świadczące o przychylności Rosyi do „niewdzięcznych" polaków, a przemilczać wszystko, co mogło chociażby jakiś słaby cień rzucić na postępowanie rządu rosyjskiego w Polsce. Redakcya „N. Listów" wyszukała specyalnego „polaka" — niejakiego p. Zychlińskiego, który, siedząc w Pradze, pisuje do organu młodoczeskiego carofilskie korespondencye z zaboru rosyjskiego. Rzecz charakterystyczna, że ten pan, pomimo najnowszej ery „serdecznych" stosunków polsko-czeskich, nie zaprzestał swej roboty i nadal karmi publiczność czeską „autentycznemi" wiadomościami o manifestach dla polaków, o wprowadzeniu języka polskiego do szkół w Królestwie itd.

„Narodni Listy" są skarbnicą mądrości politycznej dla całej rzeszy pism i pisemek czeskich, chorwackich, słoweńskich itd., które szerzą po całej Słowiańszczyźnie niechęć dla polaków, przez co ta ostatnia zapuściła wśród publiczności zachodnio-słowiańskiej korzenie tak głębokie prawie, jak moskalofilstwo.

Czyż wobec tego wszystkiego może być mowa o jakiejś wspólności interesów polskich i czeskich, tak samo jak chorwackich i serbskich, serbskich i bulgarskich, kiedy wzajemny stosunek tych narodowości jest wprost wrogi.

Mówi się bardzo dużo o wspólnym jakoby wrogu całej Słowiańszczyzny — o niemcach. Ale i w tem — nawet ze stanowiska czysto narodowego — racyi nie dużo. Bo, jeśli dla czechów, polaków w zaborze pruskim i poniekąd słoweńców niebezpiecznym jest system germanizacyjny, to ani dla reszty polaków, ani dla słowaków, serbów, chorwatów, bulgarów, rosyan lub rusinów germanizacya nie jest wrogiem poważnym. Każda narodowość słowiańska ma swego wroga, a dla polaków czesi na Szląsku są tak samo niebezpieczni, jak niemcy.

Że żadnych ogólno-słowiańskich lub chociażby, że się tak wyrażę, ogólno-antygiermańskich interesów niema, najlepiej widzimy z tego, że burżuazya czeska i niemiecka w rozczulającej zgodzie podczas wyborów zwalcza kandydata robotników czeskich, że junkry pruskie razem z polskimi magnatami bardzo zgodnie głosują za ciężarami, przygniatającymi lud polski i niemiecki, itd. To samo czyni i burżuazya chorwacka, idąc ręka w rękę z nieprzejednanym swym wrogiem — włochami, przeciwko chorwackim socyalistom, a niemieccy klerykali z krajów alpejskich gotowi popierać interesy słowiańskie i dopuścić się „zdrady“ na sprawie niemieckiej, byle otrzymać przy pomocy czechów i polaków szkołę wyznaniową.

Jeśli niema wspólnych interesów, to niemoże być i wspólnej polityki, Jeśli zaś ta nagle zostaje zainicyowaną, nie można się opanować podejrzeniu, że jest prostym szwindlem, zwykłą farsą dla pokrycia zupełnie innych celów, aniżeli te jakie się otwarcie wskazuje.

Z taką właśnie farsą mamy obecnie do czynienia Hecę, którą urządzają stronnicy upadłego ministra Badeniego, została ubrana w szaty słowiańskie. Publiczność zaś polska, nie wyłączając żywiołów zupełnie uczciwych, nie poznała się na tem i poszła na lep ładnie brzmiących, ale pustych frazesów. Sztucznie wywołany przez ludzi przewrotnych nastrój spowodował smutne zajścia, odbijając się na moralności całych warstw społecznych. Na czoło kierujących manifestacyami wysunęli się ludzie, wprost nie zasługujący na żadne zaufanie, Z drugiej strony użyto do manifestacyi takich środków, jakie zasługują na bezwzględne potępienie. Płacono zwyczajem badeniowskim chłopom po 2 złr. (w Przemyślu) za udział w manifestacyi. W szkołach nauczyciele podjudzali dzieci przeciwko robotnikom jako wrogom słowiańszczyzny, wprost radząc im bić ich bokserami i zasypywać oczy papryką.

A co za reakcyjny charakter miały te wszystkie manifestacye! Telegram do cesarza, telegram do uosobienia reakcyi jezuickiej Ebenhocha (niemiec!), krzyki na gwałt czarnożółtego patryotyzmu, z którym zamanifestował się „demokrata“ Sokołowski, dowodząc. że opozycya chce Austryę rozbić, twierdzenie, że opozycya sprzeciwia się woli monarchy*) i t. d. i t. d. — oto sos, w którym podano ludkowi zbratanie się słowiańskie.

Reasumując to wszystko, musimy przyjść do wniosku, że obecny prąd słowiański jest:

1. Pod względem zasadniczym — zwykłym szwindlem, ukartowanym przez grupę przyjaciół Badeniego jako rekompensata za wyrzucenie tego ostatniego przez socyalstów ze stołka ministeryalnego.

2. Pod względem politycznym — na skroś reakcyjnym, gdyż służy dla partyi bankrutujących za deskę ratunku, a dla partyi szczerze ludowych za belkę na drodze do urzeczywistnienia ideałów prawdziwego równouprawnienia ludów tak słowiańskich, jak i wszystkich innych.

3. Pod względem narodowym- antypatryotycznym, gdyż jest wprost wodą na młyn panslawizmu moskiewskiego. Możnaby tu przytoczyć cały szereg głosów prasy słowiańskiej na dowód tego. Oto np. „Nar. Listy“ w artykule „Slovanske hnuti mezi Polakamy“ mówią: Ruch słowiański, który się tak pięknie i potężnie w Galicyi zainicyował, nie ma tendencyi charakteru antyrosyjskiego. Z tego względu nie może być obecna zgoda czesko-polska prostym powrotem do sympatyi 1863 r. — jak ktoś powiedział. Taki powrót byłby krokiem wstecznym w rozwoju myśli słowiańskiej. My zaś cieszymy się, że teraźniejszy ruch słowiański jest olbrzymim krokiem naprzód, że przeciwko żadnemu narodowi słowiańskiemu nie jest wymierzony i żaden naród słowiański nie wyłącza. Z ogromną radością podkreślają „N.L. serwilistyczne względem cara wystąpienie ks. Stojałowskiego, widząc w tem rękojmię pojednania się ludu polskiego z Rosyą. Jeszcze wyraźniej wypowiada się „Slowenski Narod“. Twierdzi on mianowicie, że obecna zgoda polaków z czechami i słowianami południowymi jest dowodem, że i polacy raz już wyrzekli się swych mrzonek antyrosyjskich i idą ręka w rękę z całą Słowiańszczyzną.

Otóż, jak z tych głosów widać, organizatorowie manifestacyi słowiańskich swem postępowaniem dali do zrozumienia, że i polacy nawracają się na moskalofilstwo i wyrzekają się swych dążności narodowych.

4. Pod względem etycznym manifestacye słowiańskie są wprost niemoralne, dla tego że naprzód wysuwają ludzi o wytartem czole i brudnych rękach, używających do poparcia swych zamiarów środków wprost ohydnych w rodzaju posługiwania się dziećmi.

Jakież może być nasze stanowisko, stanowisko socyalistów polskich w całej tej sprawie? Sądzę że tu dwóch zdań być nie może. Uznając obecną politykę słowiańską za farsę reakcyjną, antynarodową i niemoralną musimy ją potępić bezwzględnie i zsolidaryzować się zupełnie z naszymi towarzyszami galicyjskimi, którzy, protestując przeciwko nieuczciwej grze Badenich skoalizowanych z Ehrenbergami, jednocześnie domagają się zupełnego równouprawnienia wszystkich — tak słowiańskich, jak i niesłowiańskich — ludów Austryi przez zaprowadzenie w pierwszej linii prawa powszechnego głosowania. Tylko bowiem z zaprowadzeniem tego ostatniego, kiedy ludy uzyskają możność rozstrzygania swego losu, można będzie załatwić i sprawy narodowościowe. My, jako socyaliści, walczymy nie przeciwko narodom, ale przeciwko klasom wyzyskującym, w których interesie jedynie leżą waśnie narodowościowe,a wszelkie zwycięstwo nasze jest krokiem naprzód na drodze radykalnego załatwienia kwestyi narodowościowej. To też tylko w rozwoju socyalizmu leży rękojmia jej rozwiązania i w Austryi.

O.

*) Z tem wyrwał się żółtodzioby kandydat na c. k. komisarza policyjnego, student Rydel.

ZE ŚWIATA

Polityka zagraniczna socyalistów angielskich

Ze wszystkich socyalistycznych partyi europejskich najbardziej określony i jednolity pogląd na politykę zagraniczną posiada angielska Socyalnodemokratyczna Federacya (którą oznaczać będziemy, dla krótkości, S. D. F). Składa się na to po części posiadanie w swem łonie osobistości tak wybitnej i tak dokładnie zaznajomionej ze stosunkami międzynarodowymi, jaką jest Hyndman, po części ta okoliczność, że partya ta ma właściwie jeden tylko organ, nie redagowany wprawdzie przez H., ale znajdujący się pod jego wpływem, głównie zaś — międzynarodowe stanowisko Anglii, której stosunki wewnętrzne bardziej może, niż gdziekolwiek, zależne są od zagranicy. Jednolitości tej nie staje nawet na przeszkodzie demokratyczna w najwyższym stopniu organizacya partyi. Oddzielne towarzystwa, wchodzące w skład S. D. F., tak mało są krępowane przez wolę ogółu, iż np. delegaci na zjazdy partyjne przyjeżdżają prawie zawsze

z „mandats impératifs“ (uchwały, obowiązujące do głosowania w ten, a nie inny sposób, bez względu na przebieg rozpraw), i pomimo tego, w kwestyach polityki zewnętrznej panuje tam prawie zawsze jednomyślność. Dla nas polityka towarzyszy angielskich jest w wysokim stopniu ciekawa, już choćby ze względu na sprzeczność interesów, rzekomo lub prawdziwie istniejącą między Anglią a Rosyą. Dlatego postaramy się naszkicować tę politykę w ogólnych zarysach. Zaznaczymy też zaraz, że „Niezależna Partya Pracy“ (druga organizacya soc. w Anglii) oraz „Towarzystwo Fabianów“ żadnych określonych poglądów w tej sprawie nie posiadają.

Główne kraje, na które uwaga S. D. F. była zwrócona w ostatnich czasach, były to: Wschód, Indye i Kolonie, z któremi Anglia miała starcia, mianowicie Transwaal, Matabele i Mashonaland; w związku z powyższem znajduje się stosunek do Francyi i do militaryzmu wogóle. Rozpatrzymy te sprawy po kolei.

Kwestya wschodnia jest w Anglii kwestyą stosunku do Rosyi i z tego też punktu widzenia bywa rozpatrywana przez poszczególne partye. Otóż do niedawna jeszcze można było powiedzieć, że wogóle konserwatyści są w Anglii nieprzejednanymi wrogami Rosyi, liberali zaś, jeżeli nie sprzyjają jej otwarcie, to w każdym razie przeciwni są polityce energicznej w stosunku do caratu. Dziś zaś rzeczy zmieniły się o tyle, że nawet konserwatyści nie mogą bynajmniej być uważani za wrogów Rosyi. Złożyło się na to wiele przyczyn.

Przedewszystkiem w łonie partyi konserwatywnej w Anglii odbywa się bezustannie ten sam proces rozkładowy, co i wśród burżuazyi świata całego. Dawne, romantyczne pojęcia honoru narodowego, obstawanie przy pewnej polityce, choćby to miało kosztować dużo krwi i pieniędzy, szerokie plany na przyszłość, będące wprawdzie w związku z pewnymi interesami materyalnymi, ale tymczasem nie przynoszące żadnych określonych korzyści — wszystko to są rzeczy, które coraz rzadziej można spotkać na widowni politycznej. Burżuazya dzisiejsza myśli przedewszystkiem o swym worku; tymczasem wojna szkodliwie wpływa na bieg spraw i, nawet w razie pomyślnego zakończenia, przynosi mnóstwo strat. W dodatku sztuka wojenna doszła dziś do takiego udoskonalenia, a wojny pochłaniają takie szalone masy, że każda z nich stanowi prawdziwy kataklizm w życiu narodów. To też nie dziwota, że wśród burżuazyi krajów o rozwiniętem życiu przemysłowem i handlowem istnieje wrogi nastrój względem wojny i że nastrój ten najwyraźniej przejawia się w Anglii, tem sercu kapitalizmu nowoczesnego.

Już Mierosławski zauważył, że jedno tylko państwo posiada określoną politykę (w dawnym rodzaju, to jest — nie cofającą się przed niczem, nawet przed wojną), mianowicie Rosya, że zaś wszystkie inne myślą w gruncie rzeczy tylko o jednem — o utrzymaniu pokoju. A od tego czasu stosunki rozwinęły się jeszcze bardziej, w tym samym kierunku. Nawet w Rosyi istnieje już burżuazya współczesna, łaknąca pokoju i „zdobyczy cywilizacyjnych“ czyli mówiąc zwykłym językiem — zarobków, ale dotąd nie gra ona tak poważnej roli w życiu ekonomicznem caratu, by rozstrzygała bezapelacyjnie o kierunku jego polityki. Jaką przewagę podobne stosunki nadają Rosyi, tego dowodzi cała historya nowożytna, w szczególności zaś historya ścierania się interesów międzynarodowych na Wschodzie.

Póki konserwatyści angielscy byli przedewszystkiem wyrazicielami wielkiej własności ziemskiej, dopóty mogły wśród nich istnieć dawne, rycerskie tradycye; dziś landlordzi angielscy są takimi samymi szachrajami giełdowymi, jak i pokojowi fabrykanci, przytem cały prawie wielki kapitał przeszedł do szeregów konserwatywnych i wycisnął swe piętno na poglądach tej partyi. To też konserwatyści dzisiejsi ogromnie zbliżyli się do liberałów w swych zapatrywaniach na kwestyę wschodnią.

Drugą przyczyną osłabnięcia wojowniczości angielskiej jest faktyczne zmniejszenie się życiowego interesu, jakim było dawniej dla Anglii utrzymanie całości i niepodległości Turcyi. Droga do Indyi nie idzie dziś przez Konstantynopol. Dowiodła tego Rosya, posuwając swą granicę środkowo azyatycką aż pod mury Heratu; przyczynia się również do tego ciągły wzrost szybkości biegu statków, zmniejszający faktycznie przestrzeń, która dzieli Indye od Anglii. Wreszcie Anglia straciła już swój dawny monopol handlu z Turcyą, gdyż Niemcy i inne państwa robią jej na tem polu coraz poważniejszą konkurencyę.

Trzecim czynnikiem, który by zapewne nie grał bardzo wielkiej roli, gdyby nie istnienie dwóch poprzednich, jest osobistość, stojąca dziś na czele partyi konserwatywnej w Anglii. Lord Salisbury jest naśladowcą i wielbicielem Canninga. Tak samo jak tamten mąż stanu, jest on konserwatystą w polityce wewnętrznej, a liberałem starej daty — w stosunkach międzynarodowych. Na Wschodzie uważa on za swój obowiązek popieranie „młodych narodowości“. Różnica jest tylko ta, że Canning miał w Turcyi do czynienia z narodowościami żywotnemi i posiadającemi wszelkie warunki rozwoju — z rumunami i grekami, podczas gdy Salisbury otacza swą opieką handlarzy armeńskich oraz pasterzy kreteńskich. To też polityka Salisburego jak dotąd doprowadziła tylko do wymordowania znacznej ilości armeńczyków, którzy widocznie nie są w stanie powstać na seryo, — i do zupełnej ruiny Krety, nie mówiąc już o osłabieniu Turcyi, co też w każdym razie nie leżało w zamiarach rządu angielskiego.

Czytając korespondencyę Salisburego z ambasadorem angielskim w Konstantynopolu, możnaby czasami przypuścić, że się ma przed sobą wymianę zdań Komitetu londyńskiego oraz delegata konstantynopolskiego *henczakistów* (armeńskiej partyi rewolucyjnej), jakimś cudem tolerowanego przez Portę. Zaledwo który z konsulów angielskich zawiadomi pana Filipa Currie (ambasadora) o krzywdzie wyrządzonej jakiemu armeńczykowi, aliści ten śle natychmiast dragomana do Porty i telegrafuje do Londynu, skąd lecą w odpowiedzi groźne noty. To też żaden chyba z obcych posłów nie jest tak znienawidzony przez turków, jak przedstawiciel Anglii. Podczas gdy Rosya ma w Turcyi na swej służbie starych, chytrych łotrów, którzy są za pan brat z ministrami tureckimi i umieją zjednać ich sobie to „papką, to czapką“, — dumny anglik odpycha ich od siebie i zniechęca nieustannem podkreślaniem swego „chrześciańskiego“ stanowiska.

Tu przychodzimy do ostatniego czynnika, wpływającego na turkofobię, a stąd i na pobłażanie Rosyi dzisiejszego rządu angielskiego. Jest nim rosnący z każdym rokiem wpływ fanatycznego duchowieństwa angielskiego na umysły burżuazyi, pośrednio zaś — i rządu. Wskutek wzrastającej walki klasowej, strachu przed robotnikiem i naturalnej zupełnie w burżuazyi chęci wzmocnienia wszystkich czynników, które by mogły wpłynąć na zmniejszenie ducha niezawisłości proletaryatu, kościół zaczyna w ostatnich czasach odgrywać coraz poważniejszą rolę. Oczywista rzecz, że w Anglii, gdzie burżuazya nie przechodziła nigdy przez epokę ateizmu i walki z kościołem, jak na kontynencie, zwrot powyższy odbywa się jeszcze wyraźniej, niż gdzieindziej. Tymczasem ko-

ściół anglikański jest wrogiem mahometanizmu i to nietylko przez zwykłą zawiść sekciarską, ale też z powodu ciągłych starć, które zdarzają się między misyonarzami angielskimi a przywiązanymi do swej wiary turkami. To też w chórze przekleństw, sypiących się na „krwiożerczych" mahometan, najdonioślejszy był głos wszelkiego rodzaju popów.

Od chwili rozpoczęcia się ruchu rewolucyjnego w Armenii, a później i Krecie, sytuacya była taka, że rząd angielski wciąż popierał pośrednio rewolucyonistów, nie pozwalał Turcyi wystąpić raz energicznie, co byłoby wprost z punktu widzenia interesów ludzkości korzystniejszem od ciągłego stanu oblężenia i nieodłącznych aktów barbarzyństwa w Armenii i na Krecie, zachęcał chrześcian do oporu, a jednocześnie nie chciał i nie mógł zmusić Turcyi do przeprowadzenia reform, które by zakończyły ten nieznośny dla obu stron stan rzeczy, zaś partya liberalna wprost domagała się od rządu wytoczenia wojny Turcyi i *odstąpienia Rosyi Armenii*, albo i całej Małej Azyi. Wtedy rozpoczęła się agitacya socyalistyczna.

Towarzysze nasi zarzucali partyi liberalnej, że ona nic nie zrobiła wtedy, gdy znajdowała się u władzy i korzystała jeszcze z rodzaju protektoratu, rozciągniętego przez Anglię nad Turcyą po wojnie Krymskiej oraz po ostatniej wojnie wschodniej. Sytuacya była wtedy daleko korzystniejsza, niż dzisiaj, gdyż Turcya mało miała sił i daleko była skłonniejsza do przeprowadzenia reform, przytem nienawiść do Rosyi dosięgała najwyższego stopnia i nie było obawy, by to państwo mogło tak łatwo pokrzyżować zamiary ludzi. szczerze i chętnie oddających się na usługi Turcyi. Dalej socyaliści wystąpili z gwałtowną kampanią przeciwko Rosyi i wszystkim jej ukrytym oraz jawnym sojusznikom. W tej sprawie trzeba przyznać, że dużo zostało zrobione. Wydano manifest, protestujący przeciwko zdradzieckim projektom „Daily News" (organ liberalny, odznaczający się największem rusofilstwem). Hyndman objechał wszystkie znaczniejsze miasta Anglii i wszędzie wykazywał słabość konserwatystów oraz głupotę i złą wiarę liberałów, wreszcie urządzone zostało wspaniałe zebranie w Londynie, na kilka dni przed „wielką" demonstracyą liberałów w obronie Armenii, które pozbawiło ją wszelkiego znaczenia. Śmiało można powiedzieć, że jedynym elementem, który powstrzymywał zaślepiony ogół angielski od wydania Turcyi na łaskę i niełaskę Rosyi, byli socyaliści.

Streszczając poglądy socyalistów angielskich na kwestyę wschodnią, powiemy, iż żądają oni wywarcia nacisku na Turcyę, w celu przeprowadzenia reform wewnętrznych w tem państwie, ale ostro i energicznie zwalczają agitacyę rosyjską i sprzeciwiają się temu, by żądania armeńsko-greckie były popierane przez Anglię na ślepo, bez zbadania ich stopnia słuszności oraz źródła, z którego pochodzą.

Drugą sprawą niemniej ważną był stosunek do Indyi. W sprawie tej Hyndman, który spędził znaczną część swego życia w Indyach i Australii (zanim stał się socyalistą), wydał jeszcze w r. 1886 książkę pod tytułem „Bankructwo Indyi". Ponieważ dane w niej zawarte i żądania powtarzają się we wszystkich manifestach, artykułach i broszurach socyalistycznych, omawiających tę sprawę, więc zaznajomimy z jej treścią naszych czytelników.

Dobrą stronę administracyi angielskiej w Indyach stanowi względny spokój, panujący tam od czasu poskromienia dzikich, walczących dawniej ze sobą plemion, administracya bardziej uczciwa i mniej sprzedajna, wreszcie powolne rozpowszechnianie się kultury wśród drobnej cząstki ludności zamożniejszej. Ale te korzyści przeważane są najzupełniej przez straty.

Olbrzymią większość ludności indyjskiej stanowią rolnicy, którzy do niedawna (gdzieniegdzie i dziś jeszcze) władali ziemią na zasadach wspólności i opłacali panującemu daninę w naturze. Ten fakt, że dawne gospodarstwo naturalne coraz bardziej ustępuje miejsca kapitalizmowi, nie stanowi, zdaniem H., przyczyny pogarszania się położenia rolnika indyjskiego, gdyż nie biednieje tam jedna tylko część ludu, na korzyść innej, ale cała ludność zdąża wielkimi krokami do przepaści nędzy. Przedewszystkiem dawni despotyczni władcy Indyi popełniali nieraz akty okrucieństwa względem jednostek, ale w stosunku do narodu byli daleko bardziej wyrozumiali, niż dzisiejsi poborcy podatków i inni administratorowie Indyi. Gdy jaka klęska wywołała głód, to książęta indyjscy zadawalniali się mniejszą dziesięciną i nie ściągali później zaległości. Dziś podczas głodu puszczony zostaje w ruch cały aparat komorników, papieru stęplowego, kar itp., a zaległości muszą być zapłacone, jeżeli nie zaraz, to później, kiedy wynędzniały rolnik najbardziej właśnie potrzebuje ulg podatkowych, aby odbudować swe zniszczone gospodarstwo. Dalej administracya angielska daleko jest kosztowniejsza od tubylczej, a jednocześnie w większej części wypadków nie zna wcale potrzeb miejscowych. Wskutek tego np. skarb Indyi obciążany zostaje pożyczkami, które idą na budowanie kosztownych kolei, kanałów itp. Lud nie ma z tego prawie żadnej korzyści, gdyż jego proste niekosztowne sposoby irygowania pól stokroć są praktyczniejsze od skomplikowanych wytworów pracy inżynierów europejskich, a za to suma podatków musi być bez ustanku podnoszoną, by opłacać procenty od pożyczek. Ale co może najważniejsze, to że olbrzymie sumy, opłacane przez chłopa indyjskiego, idą w znacznej części do Anglii, podczas gdy dawniej były zużywane na miejscu. Ludność miejscowa została w ostatnich czasach prawie zupełnie odsunięta od zajmowania urzędów, a pieniądze, przesyłane przez urzędników angielskich do domu, pensye i emerytury kolosalne, otrzymywane po niewielu latach służby i pobierane prawie wyłącznie w Anglii, procenty od pożyczek indyjskich, zbogacające bankierów angielskich — wszystko to razem dochodzi do sum wprost niesłychanych. Według Hyndmana ilość produktu, którą Indye muszą przesyłać *gratis* do Europy w celu pokrycia powyższych wydatków, wynosiła w r. 1878 *dwadzieścia milionów* funtów szterlingów (200 milionów rubli), a dziś dochodzi do *trzydziestu pięciu milionów* (350,000.000 rs.).

Rezultaty takiego stanu rzeczy są okropne. Cała ludność biednieje nieustannie. Ilość bydła, używanego przy roli zmniejsza się, sami rolnicy słabną fizycznie, drobnego mieszczaństwa niema, a zamożni ludzie znikają. Wskutek tego coraz częściej powtarzają się głody, o jakich nie mamy pojęcia. Podczas gdy dawniej głody większe zdarzały się raz na parę wieków, teraz powtarzają się one prawie regularnie co 10 lat, przyczem np. głód z r. 1878 kosztował Indye według bardzo niekompletnych sprawozdań urzędowych 6 milionów ofiar! Administracya angielska, trzymając się starej rutyny, wyniesionej z domu, widzi jedyny ratunek na głód w robotach publicznych, które obarczają skarb Indyi wydatkami nieprodukcyjnymi i przynoszą zarodki nowego powiększania podatków — nowego wzrostu nędzy. Wreszcie masę pieniędzy pochłaniają wojny ościenne, będące wynikiem ambicyi głównodowodzących.

Hyndmana nie przeraża tak bardzo niebezpieczeństwo, grożące Indyom ze strony Rosyi. Obszar ziemi, liczący obecnie 300 milionów ludności, na zdo-

bycie którego Anglia potrzebowała przeszło 100 lat, nie może być tak prędko zajęty przez carat. Ale niebezpieczeństwo leży wewnątrz samych Indyi. Kraj ten skazany jest na bankructwo, jeżeli Anglia nie zmieni swej polityki, w razie zaś gdy ludność jego będzie miała jakiekolwiek powody przypuszczania, że rządy nieangielskie będą ją mniej gnębiły, to stanie ona po stronie każdego najezdcy.

Z drugiej strony H. zauważył, że państwa indyjskie, zależne od Anglii i będące pod kontrolą angielskich rezydentów i wyższych urzędników (państwa te mają razem około 50 milionów ludności), znajdują się prawie bez wyjątku w stanie kwitnącym. Urzędnicy angielscy pobierają wprawdzie ogromne pensye, ale za to potrafili oni znieść nadużycia, łapownictwo i bezprawia, które dawniej były rozpowszechnione, i zaprowadzili niejedną reformę, powoli, z oszczędności kraju, a nie z jego kapitału. Zaś cała administracya pozostała indyjską, kosztuje tanio i zjada swe dochody na miejscu. Dość powiedzieć, że głody, grasujące w Indyach, nie przekraczają granic państw lennych.

Jakiż środek ma zaradzić złemu? — Opuszczenie Indyi przez anglików jest niepodobieństwem; pogrążyłoby prawdopodobnie ten kraj w anarchię (plemiona wojownicze rzuciłyby się na rolników itd.) oraz pozwoliłoby sąsiadom rozszarpać Indye i zaprowadzić tam stosunki, może jeszcze gorsze od dzisiejszych. Ale konieczną jest *decentralizacya i administracya złożona z indyan*, pod kontrolą anglików. Centralizacya dzisiejsza wprost zabija nawet dobre chęci urzędników angielskich, gdyż obarcza ich takim nawałem pracy biurowej, że nie pozostawia czasu na działalność pozytywną. Zatem należy zastąpić dzisiejszych drogo opłacanych urzędników angielskich przez indyan, przelać znaczną część atrybucyi urzędników na ciała wybieralne, autonomiczne, i zachować tylko *do czasu* najwyższą kontrolę. Gdy zaś społeczeństwo indyjskie posiądzie odpowiednią ilość własnych prawodawców i administratorów, wtenczas potrafi ono istnieć o własnych siłach. Wtedy też wybije ostatnia godzina panowania angielskiego, przynajmniej panowania absolutnego, ale lepiej się z tem liczyć i zaoszczędzić sobie wstrząśnień gwałtownych, które przy dzisiejszym stanie rzeczy prędzej czy później nastąpią i odbiorą Anglii Indye w sposób najmniej korzystny i dla niej samej i dla sprawy kultury.

Świetną sposobność do rozwinięcia agitacyi w sprawie Indyi uzyskała S. D. F. w jesieni roku zeszłego, kiedy wybuchł ostatni (dotąd) głód w Indyach. Jak i dla sprawy wschodniej urządzono szereg zebrań w całej Anglii, wydano manifest w setce tysięcy egzemplarzy, broszurę specyalną i t. d. Powodzenia natychmiastowego nie było i nie mogło być, gdyż burżuazya angielska zbyt potężny ma interes w dalszem wysysaniu Indyi ale nasi towarzysze angielscy nie należą na szczęście do ludzi, którzy by uważali interesy burżuazyi za jednoznaczne z „rozwojem ekonomicznym społeczeństwa“, to też nie myślą zaniechać swej pracy i prawdopobnie z czasem dopną celu. W każdym razie dzisiejsze poglądy H. na kwestyę indyjską tak są brane na seryo przez sfery rządzące w Anglii, iż indyjscy sekretarze stanu uważają za stosowne polemizować z nim.

Przejdźmy do Transwaalu. Czytelnikom naszym znane są zapewne, przynajmniej w ogólnym zarysie, stosunki, które panują w tym kraju, przeto ograniczymy się na naszkicowaniu takowych. Transwaal jest kolonią, zupełnie niezależną od Anglii pod względem prawodawstwa i administracyi wewnętrznej, a podlegającą zwierzchności angielskiej tylko do stosunków dyplomatycznych, kraj jest zaludniony przez *boerów* — kolonistów holenderskich, trudniących się przeważnie rolnictwem. Od niejakiego czasu zaczęto tam odkrywać coraz bogatsze kopalnie złota, które jak zwykle ściągnęły zaraz chmarę awanturników międzynarodowych oraz rozbudziły chciwość kapitalistów angielskich. Zalew cudzoziemców zaczął grozić ludności miejscowej, która obostrzyła wskutek tego warunki uzyskania obywatelstwa w Transwaalu. Wtedy kilku kapitalistów angielskich zorganizowało wyprawę korsarską, pod dowództwem niejakiego Jamesona, który napadł na Transwaal i chciał zdobyć ten kraik przemocą. Ale boerzy bronili się energicznie i Jameson oraz jego armia zostali pobici i wzięci do niewoli. Wtedy w całej Anglii podniósł się krzyk, że Jameson jest bohaterem, a jego rozbójnicza świta składa się z pionierów kultury. Żądano energicznego wkroczenia rządu i zmuszenia buntowników boerów do ukorzenia się przed cudzoziemcami, gdyby zaś tego zaszła potrzeba, żądano użycia siły orężnej!

I w tym wypadku S. D. F. podniosła energiczny głos protestu. Hyndman znowu został wysłany na podróż agitacyjną, która powiodła mu się najzupełniej, pomimo strasznego rozpasania namiętności szowinistycznych i chociaż wszystkie partye stały (bardziej lub mniej wyraźnie) po stronie Jamesona. Zawiązała się też wtedy ciekawa polemika między socyalistą niemieckim, byłym redaktorem „Sozialdemokrat“-u, Bernsteinem, a redakcyą „Justice“. Bernstein utrzymywał, że Jameson i cudzoziemcy w Transwaalu są przedstawicielami kapitału, gdy boerzy — zacofanymi rolnikami, że zatem socyaliści nie powinni sprzeciwiać się zwycięskiemu pochodowi pierwszych. „Justice“ odpowiadała, że kapitalizm, przenikający do Transwaalu, niekoniecznie musi przynosić ze sobą morderstwa, rabunek i despotyzm, a w żadnym razie nie jest rzeczą socyalistów pomagać mu w tem. Tu jeszcze raz można było zauważyć różnicę jaka istnieje między doktrynerskiem, a prawdziwie socyalistycznem pojmowaniem roli naszej w rozwoju stosunków politycznych.

Ta sama taktyka, której S. D. F. trzymała się względem boerów, zastosowana została względem murzyńskich narodów Matabele i Mashona, gdy je zaatakowali anglicy, dzięki intrygom kilku kapitalistów. I tu towarzysze nasi zaprotestowali przeciwko roznoszeniu „kultury“ za pomocą karabinów szybkostrzelnych i dział Maksima.

Jeżeli przejdziemy teraz od polityki kolonialnej do ogólnego programu S. D. F. w kwestyi polityki zewnętrznej, to zobaczymy, że jest on następujący (opieramy się głównie na manifeście z d. 14 stycznia 1896 r.):

Dwa państwa, z którem Anglia powinna wejść w stosunki jaknajbliższe i jaknajprzyjaźniejsze, są to: Francya i Stany Zjednoczone. Posiadając niezaprzeczoną przewagę na morzu, będąc faktycznie silniejszą od wszystkich państw razem wziętych, zarówno pod względem marynarki handlowej, jak i wojennej, Anglia może w ciągu krótkiego czasu uniemożliwić wszelką walkę na morzu. W połączeniu z jedynemi dwoma większemi państwami, w których demokracya ma pewne znaczenie — z Francyą i Stanami Zjedn., Anglia mogłaby zapewnić światu pokój, przyczynić się do rozstrzygnięcia polubownego większej części kwestyi międzynarodowych i oprzeć się usiłowaniom wschodnio-europejskiej reakcyi. Taki alians uwolniłby też Francyę od potrzeby szukania pomocy u caratu i pozwoliłby jej dojść do porozumienia z Niemcami w sposób, korzystny dla obu tych krajów. Oczywiście, że nieodzownym warunkiem powodzenia podobnej polityki jest

ciągła, energiczna działalność w kierunku demokratyzacyi własnego kraju.

W związku z powyższem znajduje się potrzeba ciągłego rozwoju angielskiej marynarki wojennej, czemu „żaden człowiek rozsądny nie może się sprzeciwić“, jak powiada manifest. Ten ostatni punkt zadziwi zapewne naszych czytelników. Jak może partya socyalistyczna żądać wzmocnienia siły wojennej swego kraju? — zawoła niejeden. Ale przypatrzmy się argumentom naszych towarzyszy.

Przedewszystkiem Anglia, będąc krajem, w którym demokracya gra bardzo poważną rolę, musi mieć siłę wojenną, która by pozwoliła jej oprzeć się skutecznie swym reakcyjnym sąsiadom. Anglia z natury rzeczy zaatakowana będzie na morzu, przeto musi być w stanie bronić swych brzegów. Przytem w razie wojny znaczna część ludności angielskiej zostałaby skazana na śmierć głodową, gdyby nie było pancerników, które by potrafiły doprowadzić do jej portów statki z chlebem i mięsem. Dalej, Anglia ma obowiązek bronienia swych kolonii, które rozwijają się w kierunku jeszcze bardziej demokratycznym od metropolii (Australia, Nowa Zelandya itp.). Jako przykłady zadań demokracyi angielskiej, które mogą być wykonane tylko wtedy, gdy państwo rozporządza odpowiednią siłą wojenną, S. D. F. wskazuje obronę prawa schronienia, z którego korzystają emigranci wszystkich krajów, oraz walkę z despotami, dla niesienia pomocy uciśnionym ludom lub powstającym rewolucyonistom.

Ten sam cel mógłby być osiągnięty za pomocą znacznej armii, ale wiadomo, że wszelkie armie są narzędziami w ręku reakcyi wewnętrznej. Tymczasem marynarka nie może być użyta skutecznie przez burżuazyę przeciwko robotnikowi, a istnienie jej pozwala opierać się wszelkim próbom zaprowadzenia w Anglii rekrutowania z wszystkiemi jego złemi stronami.

Potrzeba zwalczania na każdym kroku Rosyi zaznaczana jest przez S. D. F. bezustannie.

Taką jest polityka partyi, która wprawdzie pod względem liczebnym nie może równać się z partyami socyalistycznemi wielkich krajów Europy, ale która nie raz dowiodła już, że w razie potrzeby może silnie zaważyć na szali życia politycznego w Anglii.

A. Wr.

* * *

Zurych. 29 grud. oddział austryackiej socyalnej demokracyi w Zurychu obchodził pięćdziesięcioletni jubileusz wydania „*Manifestu komunistycznego*“.

Wielka sala koncertowa, ozdobiona portretem Marksa i napisami: „*Proletaryusze wszystkich krajów łączcie się!*“ w językach: czeskim, polskim, węgierskim, niemieckim, francuskim i włoskim, szczelnie zapełniona była publicznością. Program składał się z kilku śpiewów chóru robotniczego i odczytu tow. Bebla na temat: „*Znaczenie manifestu komunistycznego dla obecnego ruchu robotniczego*“.

Odczyt nagrodzony był zasłużonymi oklaskami. Publiczność opuściła salę z okrzykiem: „*Niech żyje międzynarodowa solidarność robotników!*“.

Pięćdziesięciu zebranych na uroczystości polaków przywitało wychodzącego z sali tow. Bebla śpiewem „Czerwonego Sztandaru“ i podniosło go kilkakrotnie do góry przy okrzykach: „*Niech żyje Bebel!*“.

Tow. Bebel dziękował za manifestacyę, oświadczając, że po raz pierwszy słyszy polski hymn robotniczy. Manifestacya nie zakończyła się na tem, gdyż towarzysze nasi, otoczeni niemcami i rosyanami, szli przez ulice miasta, śpiewając polskie pieśni rewolucyjne. W końcu postanowiono wysłać depeszę siedzącemu pod kluczem tow. Liebknechtowi, co też bezzwłocznie uczyniono.

Ryga. Dnia 30 października znaleziono w celi więziennej trupa jednego z towarzyszy łotyszy — lekarza Krumberga, o którego aresztowaniu jużeśmy w swoim czasie donosili. Nieszczęśliwy zakończył życie samobójstwem, doprowadzony do najwyższego stopnia rozdrażnienia nerwowego. Siedzący obok więźniowie z tej samej sprawy wszczęli hałas niesłychany, dowiedziawszy się o śmierci towarzysza. Żandarmi widocznie byli tym faktem stropieni, i w kilka dni potem wypuszczono z więzienia adwokata Waltera i studenta Kowalewskiego. Pogrzeb Krumberga odbył się manifestacyjnie, na trumnie leżał wieniec z czerwonemi wstęgami i napisem łotewskim „Towarzyszowi K. od robotników ryskich. Byli delegaci od studentów — łotyszy z D. i M.

Budzący się ruch proletaryatu łotewskiego zaniepokoił widocznie fijołków. Szukają oni głównie źródła literatury nielegalnej, rozpowszechniającej się wśród łotyszów. W tym celu pilnują bacznie okrętów zagranicznych. Np. w Libawie aresztowano maszynistę z okrętu „Hanza“, podejrzewając go o dostarczanie łotyszom wydawnictw zagranicznych. Toż samo chciano uczynić i z innym maszynistą (z okrętu „Lübeck“), ale tego nie chciał wydać fijołkom kapitan okrętu.

Sprawa aresztowanych przed kilku miesiącami wciąż się jeszcze wlecze. Kilku jeszcze robotników (Makena, Szkubera, Zaszę,) wysłano na miejsce urodzenia. Wernecka, który już był puszczony, wzięto znowu. W Mitawie aresztowano studenta petersburskiego Peluda. W Rydze na początku grudnia wzięto robotników — Petermana, Birkego, Betchera i Freimana. Aresztowanych przewożą z jednego miejsca na drugie — z Libawy do Rygi i odwrotnie — widocznie dla połączenia kilku spraw w jedną.

Na fabryce Kuźniecowa aresztowano 28 litwinów wkrótce po rozpowszechnieniu znacznej ilości odezwy socyalistycznej.

Z KRAJU I O KRAJU

Jubileuszowy numer Robotnika

Nie podobna się opanować uczuciu wzruszenia, biorąc do rąk najświeższy numer naszego organu warszawskiego. Niema chyba socyalisty w Polsce, którego by sam widok cyfry 25, umieszczonej na czele numeru, nie napełnił radością i dumą zarazem. A więc już 25! Więc wszystkie zamachy siepaczy carskich, wszystkie ich zabiegi i pomysły spełzły na niczem, i pisemko nasze dobiegło liczby numerów, o jakiej dotychczas żadna partya na całym obszarze caratu ani marzyć nie śmiała! Z czcią głęboką przeglądamy stronice tego pisma, odźwierciedlające pragnienia i dążności najlepszej części narodu. Z podziwem niekłamanym uchylamy czoła przed ludźmi, którzy potrafili dokazać tego, że proletaryat nasz pomimo kajdan, nań ciężących, pomimo braku najbardziej elementarnych swobód politycznych, przestał być niemą ofiarą panującego „ładu“. Dzięki „Robotnikowi“ wiemy, że wyrazy energi-

cznego protestu, wydobywające się z setek tysięcy piersi robotniczych, brzmią coraz głośniej. Dzięki „Robotnikowi“ możemy z otuchą patrzeć w przyszłość. Sam fakt jego istnienia bowiem jest dla nas dowodem, że siły, ukryte w ludzie naszym, budzą się coraz potężniej, że niezadowolenie mas pracujących przyjmuje coraz groźniejsze formy. Jeśli zaś możemy z okazyi wyjścia N⁰ 25 wyrazić jakieś pragnienie i z naszej strony, to chyba tylko to, żeby „Robotnik“ przetrwał wszystkie przyszłe zamachy wrogów i doczekał się chwili, kiedy zwycięski proletaryat umożliwi mu wychodzenie codzienne i już nie z tajnej drukarni.

* * *

Treść N⁰ 25 jak zwykle bogata i wybornie ułożona. Z artykułu „Od Redakcyi“ wyjmujemy cyfry, przelewające pewne światło na znaczenie „Robotnika“. Numerem tym został zamknięty przeszło trzyletni okres istnienia pisma. Wydane w ciągu tego czasu numery zawierają 298 stronic druku; zostały rozpowszechnione w całym kraju w 32.000 egzemplarzy, na co spotrzebowano 1.700 funtów papieru. Cyfry te świadczą wymownie o pracy, dokonanej przez zecerów i kolporterów P. P. S., i zarazem pozwalają domyślać się, ile wysiłków musiała partya dokonać, ażeby tych zecerów i kolporterów zatrudnić. Takeśmy się już dzisiaj przyzwyczaili do stale wychodzącego „Robotnika“, że wprost nie zdajemy sobie sprawy z ogromu pracy, jakiej ten „Robotnik“ kosztuje. Słusznie też powiada Redakcya: „nie dość jest mieć tajną drukarnię i zabezpieczyć ją przez tak długi czas od poszukiwania wielotysięcznej zgrai carskich siepaczy — trzeba jeszcze zapewnić pismu dostateczną liczbę współpracowników z całego kraju, ażeby mogło ono godnie sprostać swemu zadaniu“ To zorganizowanie stałego współpracownictwa pisma nielegalnego w kraju, rojącym się od szpicli, już jest sztuką nie o wiele łatwiejszą od utrzymania tajnej drukarni. Ażeby tej sztuki dokazać potrzeba mieć tak rozgałęzione stosunki organizacyjne, jakie ma właśnie P. P. S.

Idący po słowie wstępnem artykuł „Nowe przepisy“ piętnuje obłudę rządu rosyjskiego i wykazuje, jakie korzyści będą mieli robotnicy z unormowania dnia roboczego. Następny artykuł omawia mord dąbrowiecki i wyciąga wszystkie konsekwencye polityczne tego faktu. W artykule „Z tajemnic rządowych“, znajdujemy wyjaśnienie okólnika ministra spraw wewnętrznych, dotyczącego strejku w Rosyi Po obfitym dziale korespondencyj z różnych miejscowości Kongresówki i Litwy idzie Kronika krajowa. Nekrologi, ostrzeżenia i pokwitowania zamykają numer.

* * *

Żerański, naczelny lekarz drogi żelaznej Iwangrodzko-Dąbrowskiej. Nieraz już wskazywaliśmy na złodziejstwa, które prowadzone są systematycznie w naszych przedsiębiorstwach. Ofiarami tych złodziejstw padają zawsze robotnicy, niżsi urzędnicy itp., oni to muszą pracować na wytworzenie dywidendy, ich pracą wzbogacają się również wszelkiego rodzaju pijawki, uczepione przy zakładach. Znieść tych nadużyć nie podobna, gdyż wszyscy złodzieje złączeni są ze sobą wspólnością interesów i bronią się wzajemnie. Ale niechże przynajmniej publiczność dowie się, czem jest niejeden z naszych „znanych i powszechnie szanowanych“.

Suma objęta etatem kolei na pomoc lekarską, oprócz funduszu na zapomogi (15.300 rs.) i sumy, której kredyt pod rubryką „nieprzewidywane wydatki“ jest nieograniczonym, wynosi 24.000 [1]). W sumie tej znajduje się kilka bardzo „wdzięcznych“ pozycyi, a między innemi, jedna, najlepiej nadająca się do różnorodnych operacyi — pozycya 7.000 rs. — na przygotowanie lekarstw w miejscowych ambulatoryach. Powyższy fundusz do roku 1892 był podzielony na 4 równe części i asygnowano go dla każdego rewiru lekarskiego oddzielnie; lekarz, stosownie do wysokości udziału, wypisywał leki bezpośrednio z aptek prywatnych. Ten porządek, jakkolwiek miał wiele stron złych, posiadał też pewne zalety. Przedewszystkiem lekarstwa były przygotowywane przez aptekarzy, a powtóre, lekarz danego rewiru miał możność wypisywania takich lekarstw, jakie uważał za potrzebne, nie stosując bynajmniej jak obecnie — choroby do lekarstwa.

Suma siedmiu tys. rs. na 6 tys. oficyalistów kolejowych i, w przybliżeniu, około 12 tys. członków najbliższej rodziny, przy prawidłowem leczeniu chorych nie zawsze wystarczała, to też dosyć często do sumy wyznaczonej brakowało jednego tysiąca rs. a niekiedy półtora, ale zwykle niedobór ten „ekonomiści p. Krypskiego“ lekko pokrywali z innych pozycyi, nie wydatkowywanych swymi czasy.

Należy zauważyć, że niedobory głównie dotyczyły ostatnich 3 lat (1889, 1890 i 1891) t. j. tego okresu, w którym p. Ż. nosił się już z zamiarem zmonopolizowania ekspedycyi lekarstw w swoich rękach i w tym kierunku rozpoczął swoją działalność. W roku 1892 p. Ż., obejmując ster nad służbą lekarską, pod pretekstem, że lekarze uczątskowi zapisują lekarstwa drogie, a niekiedy i chorym prywatnym, skutkiem czego rok rocznie przekraczają normę funduszu wyznaczonego, urządził u siebie skład materyałów aptecznych i od tej pory, t. j. od roku 1892, na całą linię wysyła sam lekarstwa. Na razie, Rada zarządu nie chciała się zgodzić na powyższą reformę, ale pan Ż. najuroczyściej zapewnił, że suma wyznaczona nietylko że od tej pory będzie wystarczającą, ale nawet przy „systematycznem stosowaniu“ da pewną sumę oszczędności. Aby dopiąć zamierzonego celu, przedewszystkiem p. Ż. wyjednał wydanie cyrkularza (N. 153), który pozbawił dalszą rodzinę (ojca, siostrę, brata i służącą) pomocy lekarskiej[2]), a następnie, ograniczył uczątskowych lekarzy 126 środkami lekarskimi. Aby jednak „systematyczne stosowanie“ w zupełności odpowiadało celowi, p. Ż., przyjął jeszcze jeden dodatkowy system „obcinania zapotrzebowań“.

I tak: uczątskowy lekarz żąda np. uncyę chiny — otrzymuje ¼ część, żąda 5 funtów waty — otrzymuje jeden, żąda 10 bandaży — otrzymuje 2, żąda 200 butelek (na miesiąc) — otrzymuje 50, a jednocześnie p. Ż. wydaje polecenie, aby chorzy przychodzący po lekarstwa przynosili własne butelki. Środki nie wyszczególnione w cyrkularzu — wykreśla zupełnie.

Myliłby się ktoby sądził, iż p. Ż., zaprowadzając oszczędność ma na widoku korzyści akcyonaryuszów

---

[1]) Suma ta jest obecnie znacznie podwyższoną.

[2]) Instrukcya kolejowa i późniejszy cyrkularz (1895 r.) ministeryalny wyraźnie określają, że nietylko rodzina ajenta ale nawet prywatna służba może korzystać z pomocy lekarskiej i nietylko ajenci etatowi, ale i najemnicy dzienni.

Cyrkularz o którym mowa, nie został dotychczas ogłoszony.

p. Ż. nie jest taki głupi; jeżeli dawniej do sumy 7 tys. brakowało tysiąca, to dzisiaj, pomimo że chorzy lekarstw nie mają, brakuje trzech, a jednocześnie „ekonomiści p. Krypskiego“ nie maja czem łatać, bo inne pozycye wydatków są również przed czasem wyczerpane.

Aby mieć zupełniejsze pojęcie o działalności p. Ż., należy się bliżej przypatrzyć całćj dość skomplikowanej gospodarce a przedewszystkiem znaczeniu dla p. Ż. pozycyi 7 tys. rs., asygnowanej na lekarstwa.

Jak zauważyłem na początku, niezależnie od sumy objętej etatem, w którą wchodzą pozycye stałych wydatków jako to: lekarstwa, inwentarz, materyały piśmienne, instrumenty itp., wyznaczane są jeszcze inne, tak zwane nieprzewidywane, naprz. w 1892 r. na „walkę z epidemią“ wydatkowano około 40 tys. rs., w następnym roku na ten sam cel 6.000 rs., w 1894 — 10.000. W roku 1895 powiększono posterunki lekarskie, w 96 — urządzono specyalne pogotowia ratunkowe na stacyach i w pociągach (postanowienie ministeryalne), nakoniec, w roku 97 urządzone „2 specyalne lecznice“. Ale pozycye te należą do wyjątków wypadkowych, a jakkolwiek p. Ż. wiele na nich zarabia, są niejako wygraną na loteryi — główna działalność p. Ż. oparła się na pozycyi 7.000 rs., lecz, aby ją pozyskać, należało zmonopolizować w swoich rękach ekspedycyę lekarstw; a ponieważ p. Ż., jako naczelny lekarz sam zajmuje się urządzaniem wydziału i sam zakupuje wszystkie rzeczy, potrzebne do tego urządzenia, więc jasnem się staje, dlaczego chorzy lekarstw nie mają, pomimo, że do 7 tys. przeznaczonych na lekarstwa, zarząd drogi musi co roku dopłacać jeszcze 3, ponieważ suma przeznaczona na inwentarz idzie do kieszeni a inwentarz spłaca się pieniędzmi, przeznaczonemi na lekarstwa. Manipulacyę tę p. Ż. przeprowadza sposobem następującym:

Przedewszystkiem, zakupuje wszystko albo za pośrednictwem aptekarzy, albo też wprost od nich za pobraniem umówionego procentu. Z aptekarzami jest związany do tego stopnia, że nawet takie rzeczy jak biurka, kontuary, nosze stacyjne i pociągowe, wogóle cały remont inwentarza — zaledwie z małymi wyjątkami, co już koniecznie musi zamawiać w głównym magazynie lub też w miejscowych warsztatach kolejowych, nie wspominając już o instrumentach i środkach opatrunkowych — albo wprost aptekarze dostarczają, lub też wypłacają umówioną sumę dostawcom p. Żer. Wogóle, niema tego sprzętu, którego by nie płacił aptekarz lub też nie był ściśle związany z historyą jego dostawy. Brak miejsca nie pozwoliłby na wyliczanie wszystkich rzeczy — ciekawych odsyłamy po szczegóły do aptekarzy Knabego (obecnie Łagodziński), Ungra, Cieszkowskiego, którzy bynajmniej z tem się nie kryją.

I tak: za biurka np Brykman (handlarz szkłem) otrzymał pieniądze (60 rs., wartość rzeczywista 32 rs.) od aptekarza Ungra; za samowar do robienia „wody dystylowanej“, kontuar, dostarczony przez stolarza Sarzęckiego z Iwangrodu, nosze ambulatoryjne i pociągowe, skrzynie na środki opatrunkowe, kuferki pociągowe na lekarstwa — roboty stolarza Domańskiego — płacił aptekarz Knabe; za remont noszy stacyjnych temuż Domańskiemu płacił aptekarz Ungier itd.

Niewtajemniczony nie zwróciłby uwagi na powyższe szczegóły, stronnicy p. Ż., na zarzuty czynione, dlaczego p. Ż. nie sprowadza np. środków opatrunkowych z właściwych źródeł o połowę ceny taniej, tłómaczą go brakiem czasu, lub też, co najwyżej, nieznajomością przedmiotu, przytem dowodzą, że i procent płacony pośrednikowi — aptekarzowi nie zrujnuje kolei. Ale tłómaczenie to jest fałszywem, bo i czem że usprawiedliwić wysyłanie stolarzy po pieniądze do aptek.

Poprostu, posyłając stolarza z rachunkiem do zarządu, należałoby zadowolnić się jakimiś 10% lub 20-ma procentami komisowego. P. Ż. wie o tem, iż suma, przeznaczona na lekarstwa, można wytwarzać takie kombinacye, o jakich nikomu się nie śniło. To też ślicznie wyglądają chorzy; na uczastki lekarskie wysyła się to, co ma zaledwie pozór lekarstwa, z reszty opłaca się inwentarz, suma zaś przeznaczona na inwentarz idzie do kieszeni.

Wykazując tyle różnych „pozycyi“, na których p. Ż. opiera swą „pożyteczną działalność“ [3]), nie posądzamy go o jakieś nadzwyczajne dochody, bynajmniej, stosownie do swoich zdolności, p. Ż. ma nader szczupły teren, ponieważ w zwykłych warunkach nie może więcej nad 7.000 rs. rocznie „oszczędzić“. O jednorazowych grubszych połowach, jak np. w innych wydziałach przy zdawaniu lub przyjmowaniu parowozów i maszyn, nie podobna myśleć. Celem niniejszego jest jedynie wyświetlenie prawdy: 1) wyprowadzić z błędu tych, którzy uważają p. Ż. za człowieka słomianego[4]), i 2) potwierdzić przekonanie Gaz. Rad., że stanowisko p. Ż. na drodze żel. jest istotnie „bardzo trudne“. Z tego względu należy się obszerniejsza charakterystyka. Pan Ż. nie chce uchodzić za łapownika, przeciwnie dość często rad jest popisywać się bezinteresownością. Należy dodać, że p. Ż. został zatwierdzony na obecnem stanowisku podczas najgorętszych rugów — z tego powodu bardzo często głosi: że „Bóg utrzymał go *umyślnie* na tem stanowisku aby *swoim* dobrze robić. To też warto jest poznać przyjętą przez niego taktykę przy robieniu „oszczędności“.

Pan Ż. sprowadza np. jakiś instrument (naturalnie za pośrednictwem aptekarza), otrzymany rachunek przedstawia do zapłacenia i pieniądze odbiera z kasy osobiście.

Po pewnym czasie, zniecierpliwiony aptekarz przypomina się o pieniądze. P. Ż. przeprasza „najmocniej“ a jednocześnie dodaje, „że dyrektor nie chciał akceptować rachunku, ale że instrument ten czy przedmiot jest niezbędnym, więc go zatrzymuje, a zapłaci z innych funduszów“, pisze się wtedy kilka recept na odpowiednią sumę i aptekarz otrzymuje pieniądze — przy kwartalnym rachunku za lekarstwa. Tak samo postępuje przy opłacaniu robót stolarskich i innych, z tą tylko różnicą, że pewien procent „za grzeczność“ płaci się aptekarzowi paru receptami; aby zaś upozorować złodziejstwo, zwykle p. Ż. objaśnia, że dyrektor albo kontrola nie uwzględniają takich rzeczy bez których lekarz „wprost obejść się nie może“... — „Ach ta ekonomia kolejowa! — już mi to wszystko tu-u u stoi“ — dodaje bombastycznie.

Pan Ż. bywa bardzo często skutkiem „newralgii“ roztargniony, zapomina się, gubi różne papiery itd. Cierpienia te dawały mu się uczuwać szczególnie często, podczas epidemii cholery. I tak: aptekarze podają za pośrednictwem p. Ż. rachunki kwartalne za lekarstwa zwykłe albo też „anticholeryczne“. Po pewnym czasie, gdy się już oczekiwanie na pieniądze naprzykrzyło, zwracają się do p. Ż. z przypomnieniem. Otóż co się okazuje: rachunek „gdzieś się zapodział“. — „Ach ten Wiktor! [5]) Wiktorze!...

---

[3]) Gaz. Radomska.

[4]) Tytuł „słomianego człowieka“ pan Ż. zyskał z tego powodu, iż nie ma tej godności o którą by się nie ubiegał. Był pewien okres, że jednocześnie tytułowano go lekarzem naczelnym drogi żelaznej, prezesem Towarzystwa Straży Ogniowej Ochotniczej, Członkiem Zarządu Towarzystwa Dobroczynności, Członkiem Komisyi Sanitarnej itp

[5]) Woźny a jednocześnie lokaj p. Ż.

czyś ty *czasem* nie widział rachunków? . . leżały tu taj na biurku . . . Napewno sprzątałeś i wymiotłeś rachunki . . . Pamiętaj! . . . no, trudna rada, musi pan napisać drugi . . . przepraszam najmocniej . . . Ale, ale — który to mamy miesiąc? — a niechże cię — to już za późno[6]) . . . hm . . . Wie pan. to już ten nieszczęsny rachunek niech pan włączy do rachunku za następny kwartał".

Nie potrzebujemy objaśniać, że pieniądze p. Ż. dawno już odebrał, a komedya potrzebną była dlatego tylko, aby należność za lekarstwa za I kwartał zarząd kolei wypłacił powtórnie w drugim kwartale.

Figle te nie udawały, się tylko z p. Knabe[7]), t. j. nie to aby miały nie udawać się zupełnie, ale mniej się opłacały, ponieważ pan Ż. musiał z nim otwarcie postępować i dzielić się zyskami. „Szelma szwab" tak umiał w swoim czasie wywiedzieć się w kasie, chodzić za tem, że najczęściej uprzedzał p. Ż., a już do komizmu należy zaliczyć momenty spotykania się ich w kasie przy odbiorze pieniędzy.

Tego rodzaju manipulacya nie może się nie podobać aptekarzem, a zresztą — odmówić, znaczyłoby to samo co wyrzec się dostawy lekarstw, zależnej w zupełności od p. Ż. Bo, jakkolwiek co pewien czas odbywają się licytacye in minus w wydziale gospodarczym, ale to bynajmniej nie przesądza, aby p. Ż. miał się krępować w wyborze dostawcy. W roku 1895 Skrzyński, pomimo najniższych cen, jakie zadeklarował, nie utrzymał się przy dostawie lekarstw in crudo. „Doktór — powiada w takich razach p. Ż. — wobec chorego i niebezpieczeństwa, jakie mu może grozić, nie powinien się liczyć z jakaś określoną oszczędnością, — ja nie mam zaufania do tego pana, a nie posiadam tyle czasu, aby prowadzić analizę środków lekarskich" . . . To też kontraktowani w celach geszeftu aptekarze nie krępują się niczem, lekarstwa wysyłają w najgorszym gatunku, zleżałe, stęschłe, zioła nie oczyszczone, na pół z ziemią. Początkowo lekarze ucząstkowi odsyłali środki złe, bywały wypadki ostrej polemiki, ale to wszystko na nic się nie przydało, bo p. Ż. jest zestosunkowany z pierwszorzędnymi „ekonomistami", a tak potrafi chodzić około swoich interesów, że nietylko cieszy się uznaniem tych panów, ale często otrzymuje prezenty[8]). Paru lekarzy, którzy nie chcieli poddać się tej szwindlerskiej dyscyplinie, albo też nadto jawnie okazywali świadomość rzeczy, zmuszeni byli podać się do uwolnienia[9]).

To też postawiony w takich warunkach lekarz kolejowy, pozbawiony szerszego pola działalności w zakresie swego fachu, chociażby był najlepszych intencyi, staje się w końcu urzędnikiem do podpisywania urlopów. Ale czy można się temu dziwić, że prawdziwie chorzy, świadomi rzeczy unikają lekarstw kolejowych, boją się — bo nie wierzą w ich skuteczność jak również w uczciwość kolejowego lekarza[10]).

Oprócz tego należy dodać, iż pomimo, że p. Ż. ogromne sumy wydaje na instrumenta i urządzenia ambulatoryum, brak jest najniezbędniejszych rzeczy. Wielu lekarzy ucząstkowych kupuje za własne pieniądze lampy, miednice, przyrządy do opatrunków[11]). Felczerzy, nie otrzymawszy instrumentów do zębów, pokupowali za swoje pieniądze, ale żądają zapłaty za każdą operacyę. Ci z chorych, którzy niechcą lub nie mogą płacić, nie są opatrywani.

Braki te pochodzą wogóle stąd, że p. Ż. znaczną część instrumentów kupuje na własny użytek i nie wykazuje ich, lub też zamienia na swoje stare i bezużyteczne, które następnie zdaje do magazynu, jako rzeczy zużyte i zniszczone. Wiele instrumentów kupuje takich, które nikomu na nic się nie przydadzą i służą jedynie do zabawki w wolnych od zajęcia godzinach, wskutek czego na rzeczy potrzebne brak jest pieniędzy.

Obrazek nie byłby zupełnym, gdybyśmy nie podali jeszcze parę rysów do ogólnej charakterystyki p. Ż. W roku 1892, podczas cholery, przyjęto czasowo 10 felczerów, celem niesienia pomocy chorym na wypadek zasłabnięcia w pociągach. Po kilkunastu miesiącach — nawiasem mówiąc, gdy p. Ż. dostatecznie już nabił sobie kieszenie i dłużej „ochrony przed epidemią" nie podobna było przedłużać — felczerów uwolniono, o co zresztą żaden z nich nie mógł rościć pretensyi. Ale, ponieważ uwolnienie nastąpiło bez żadnego, chociażby kilkudniowego uprzedzenia, skutkiem czego wielu, znajdując się w drodze, pomimo woli parę dni służyło dłużej, następnie, wobec tego, że z przyczyny p. Ż. przeszło 2 tygodnie czekali oni, a wciągu tego czasu kilka razy przyjeżdżali do Radomia, zanim wypłacono im ostateczną pensyę, — wystąpili z bardzo skromną zresztą prośbą zbiorową o wypłacenie im tytułem odszkodowania t. j. za stracony nie z ich przyczyny czas i koszta przejazdu do Radomia — jednomiesięcznej pensyi. Powyższą prośbę dyrektor drogi (Łachtin) uznał za zupełnie słuszną, ale ponieważ sam bez odpowiedniego „zakluczenia" naczelnego lekarza decydować nie chciał, posłał więc do p. Ż. owe zakluczenie.

Co myślicie, od czego rozpoczął p. Ż.?

Oto, przedewszystkiem udał się do Melcera, naczelnika zarządu kolejowego, z zapytaniem, czy powyższa prosba podana była za jego wiedzą, (podanie zbiorowe itd.) Dopiero po wyczerpaniu wszystkich środków *zgodził* się na wypłacenie felczerom po 20 rs. Nie można pominąć nastręczającej się uwagi — dlaczego mianowicie p, Ż. protestował i zgodził się na wypłacenie tylko po 20 rs. Przypuszczalnie był to pozór dla zyskania na czasie ,ale co do drugiej kwestyi — co do ilości wynagrodzenia, to już pozostanie tajemnicą p. Ż. Podkreśliłem „zgodził się" dlatego, że to nie znaczy jeszcze „wypłacił". Jako naczelnik wydziału ma on prawo podnosić z kasy asygnowane pieniądze. Więc i w tym wypadku, pod pozorem, że felczerzy pozostawili u niego swoje adresy i on przyrzekł im dla oszczędzenia kosztów przejazdu wysłać należność, pieniądze podniósł, pokwitował i . . . nikomu nic nie dał, zgłaszającym się zaś felczerom objaśnił, że dyrektor, pomimo usilnego z jego strony starania, nietylko, że wynagrodzenia odmówił, ale chciał koniecznie prośbę — jako nielegalnie napisaną — odesłać do żandarmów.

Najciekawszem i charakterystycznem jest to, że urzędnicy asygnujący pieniądze jak również kasyer Maciejowski, zachowali ścisłą dyskrecyę i nie zdradzili się z tem, że pieniądze były asygnowane i wydane panu Ż.

Ale „dosyć" pan Ż. nie umie sobie powiedzieć. W ogólnej sumie wydatków drogi J. Dąbr. znajduje

---

6) Rachunki mają termin określony.

7) Przez długi czas, Knabe sam jeden z aptekarzy Radomskich dostarczał lekarstwa.

8) Od Łachtina otrzymał serwis srebrny do herbaty; brat Łachtina, były zarządzający wydziałem gospodarczym, bez zezwolenia „Ludwika Antonowicza" do ustępu nie ruszył się.

9) Czablicki z Kielc.

10) Swierczyńskiego w Bzinie i Żerańskiego chorzy unikają.

11) V. rewir lekarski 2 lata czekał na lampę, umywalnię itp., wreszcie zmuszony był użyć swoich własnych.

się pozycya 15.309 rs.; znaczny fundusz ten służy na zapomogi agientom, podupadłym skutkiem różnych nieprzewidywanych wypadków, na koszta leczenia w zakładach specyalnych, na różne specyfiki jako to: wody mineralne, kąpiele, bandaże przepuklinowe, okulary itp. Zapomogi te wyznaczane bywają na sesyi, t. j. decydowane przez komplet naczelników służb, z uwzględnieniem wszystkich pro i contra wniosków. P. Ż., nie zadawalniając się tem, że wody mineralne i inne specyfiki zapisuje na rachunek lekarstw (pozycya 7.000 rs.), a nie mogąc na razie całego funduszu pochwycić w swoje łapki, aby jeszcze cośkolwiek uszczknąć, założył 2 „specyalne lecznice“: jedną w Radomiu dla chorych ginekologicznych (choroby kobiet), drugą w Kielcach dla chorych na oczy.

Ponieważ lecznice nazwane są specyalnemi, należy się więc im z tego tytułu parę słów specyalnych. Przedewszystkiem jest to parodya lecznic, bo i co znaczy specyalna lecznica bez lekarzy specyalistów i jakim sposobem lekarz ucząstkowy może się zająć np. okulistyką (chociaż by nawet studyował kiedyś tę specyalność), jeśli dla braku czasu nie może sumiennie załatwić zwykłych obowiązków i często „zmuszony“ jest ze zmęczenia czy też z irytacyi wyrzucać chorych za drzwi. Dalej, celem założenia lecznic było to, aby módz swobodniej przyznawane na sesyi zapomogi wypłacać receptami. Lecznice, jakkolwiek nie zawiodły, ale też nie odpowiedziały marzeniom p. Ż., przedewszystkiem zaś zdyskredytowały nieco jego „obywatelskie cnoty“. Motywa użyta celem przekonania zarządu o konieczności lecznic — mianowicie, nazywając wszystkich bez wyjątku lekarzy warszawskich złodziejami — przedostały się do pism warszawiacy naturalnie obrazili się. Następnie chore i chorzy nie chcą się poddawać operacyom p. p. Daszewskiego i Żerańskiego (dr. Sędzikowski ogłoszony jest fikcyjnie jako akuszer-konsultat), leczą się więc prywatnie na własny koszt.

Dzisiaj, wobec tego, że chorzy, potrzebujący specyalnego leczenia przestali nawet prosić o zapomogi, bo w odpowiedzi otrzymują propozycyę zapisywania się do miejscowej lecznicy, p. Ż. ma jedynie to moralne zadowolenie, że starsi urzędnicy, którym propozycyi zapisywania się do lecznic robić nie można i którzy jak przedtem tak i obecnie mogą wyjeżdżać do różnych badów i zakładów leczniczych — są wdzięczni Żerańsk. za powiększenie się funduszu zasiłkowego.

Wszystko to, co się wyżej powiedziało, dotyczy przeważnie systemu rabunkowej gospodarki; traktowanie chorych, lekceważenie niższej służby kolejowej, znajdzie czytelnik na innem miejscu. Postępowanie wogóle pana Ż. nie jest obcem Zarządowi kolei, pomimo to Zarząd toleruje nadużycia.

Na stanowisku utrzymał się na skutek usilnych starań byłego dyrektora Łachtina i byłego naczelnika żandarmów Frydrychsa.

P. S. Na umundurowanie służby przy ambulatoryach należy się 140 rs. Dotychczas należność ta była wypłacaną każdemu bez kwestyonowania w kasie zarządu: stróżom po 30 rs, stróżkom zaś na fartuchy po 5 rs rocznie. Obecnie, aby chociaż kilkanaście rubli zyskać, p. Ż. sam odbiera pieniądze i kupuje stróżom gotowe ubranie; ale ponieważ rachunek krawca przedstawia na 140 rs. więc rzecz prosta dla 5 stróżek pieniędzy niema i stróżki od 4 lat nie otrzymały ani grosza.

Na materyały piśmienne zarząd asygnuje 300 rs, tymczasem zaś ucząstki lekarskich papier, pióra itd. muszą kupować albo też o nie prosić w innych wydziałach. Wydaje się to nieprawdopodobnem, jest wszakże łatwem do sprawdzenia.

Służbie lekarskiej, oprócz wynagrodzenia, objętego etatem, należy się osobne wynagrodzenie za niektóre czynności, np. felczerom — za pijawki i noce przy chorych przepędzone; stróżom i stróżkom przy ambulatoryach — za mycie podłogi, pranie bielizny; lekarzom i felczerom — za furmanki do chorych, zamieszkałych po za rogatką itp. Należności te dotychczas wypłacano również bezpośrednio, od pewnego wszakże czasu — znaczna część rachunków „przepada“. Otóż okazuje się, że pan Żer. wydał polecenie do ucząstków lekarskich, aby każdy podający rachunek wysyłał jednocześnie pokwitowanie; wzór pokwitowania rozesłany został przy odnośnym cyrkularzu, który głosi, że „rachunki wysyłane bez odnośnego pokwitowania rozpatrywane nie będą“. Od tej pory rachunki niższej służbie przestano wypłacać. Najciekawszem jest to, że naiwność służby lekarskiej jest większą od „złośliwości“ pana Żer.

* *

Polskie pismo „ludowe“ w walce z polskim ruchem . . ludowym. - Bezstronni czytelnicy warszawskiego „Głosu“ nieraz musieli się dobrze zastanawiać nad tem, co też skłania to „szczerze demokratyczne“, „postępowe“, „popierające wszelki ruch emancypacyjny polskiego ludu“ pismo do tak zajadłego ścigania i czepiania się ruchu uświadomionego proletaryatu polskiego i wogóle proletaryatu. Dziwnie tendencyjne wiadomości o przebiegu ruchu w Galicyi, usilne polowania na wszelkie, choćby drobne usterki i błędy stronnictwa robotniczego, podawanie fałszywych lub bezczelnie skrzywionych informacyi — oto treść korespondencyi lub ich ustępów, tyczących się socyalistycznego ruchu za kordonem.

Dość sobie przypomnieć korespondencye „Głosu“ z czasów walki wyborczej w Galicyi, Cieszyńskiego wiecu, świąt majowych. Już to używali korespondenci: krakowski Zawisza i lwowski, jakiś młodociany socyalistożerca J. A. S. W przeglądach politycznych stale są omijane fakty, charakteryzujące dodatnio ruch robotniczy w Europie, jego zwycięstwa przy wyborach do parlamentów, natomiast z radością podkreślane są przypuszczenia, że „socyaliści poniosą zapewne porażkę“, lub „socyaliści, jeżeli zdobędą parę mandatów, to tylko przy ściślejszych wyborach“ itp. Wszelkie zaś błędy notowane i rozmazywane są skrupulatnie, i o ile przyzwoitość nakazuje, szeroko. Podczas obstrukcyi wiedeńskiej nie postarano się o zacytowanie słów posłów socyalistycznych, wyjaśniających ich stanowisko w opozycyi; nie wyjaśniono zupełnie treści całej sprawy z rozporządzeniami językowemi, ani słowa nie było o tem, że były one pogwałceniem konstytucyi, że były jednym z całego szeregu czynów gabinetu tegoż charakteru, przeciwko którym frakcya socyalistyczna walczyła od samego otwarcia izby. O tem wszystkiem „Głos“ zamilczał, sprawę zaś przedstawił w ten sposób mniej więcej: Gabinet chciał uwolnić słowian z pod ucisku germańskiego (poczciwy!); przeciwko temu wystąpili niemcy i socyaliści, wyprawiając niemożebne awantury; jednem słowem, według przedstawienia „Głosu“, socyaliści niewiadomo w jakim celu, (sam „Głos“ nad tem wciąż myśli), w każdym razie bardzo ciemnym, pomagają butnym germanom bronić zabójczego dla Słowiańszczyzny jarzma.

Wszystko to było jeszcze jakoś upozorowane. Nieświadomy polityki partyi, przemawiającej na szpaltach „Głosu“, czytelnik mógł się dziwić naiwności autora przeglądów politycznych, stronności korespondentów, ale o złą wolę jeszcze to pismo trudno było posądzać; tem bardziej, że posądzanie pisma, mającego być towarzyszem broni w walce z uciskiem i niewolą, o tak gadzinowe tendencye wydawała się potworną. A jednak teraz zmilczeć już niepodobna. Od pewnego czasu „Głos“ rozpoczął w walce z socyalistami

taktykę, którą może określić jeden tylko wyraz: podłość. Dla scharakteryzowania tej taktyki przytoczę tutaj ustęp następujący, gdzie ona przejawia się w całej swej ohydzie:

„. . . . Zaznaczyć trzeba, że jednym z najmniej zrozumiałych momentów w tej tragikomicznej walce wiedeńskiej jest zajadłość socyajistów polskich w obronie niemczyzny. Stanowisko to było by zrozumiałem tylko przy użyciu klucza, którego użyć się wzdragamy, póki dostatecznych dowodów nie będziemy dać w stanie" („Głos" N° 47, str. 1156. Przegląd polityczny). Czyż nie wstrętnem jest takie rzucanie na przeciwnika, czy współzawodnika tak strasznych kalumnii, i to rzucanie w sposób, używany tylko przez małomiasteczkowe plotkarki, starające się szkodzić bliźnim za pomocą rzucania półsłówek, podejrzeń, niedomówionych zdań itd. Jeżeli o histeryczkach plotkarkach, używających takich sposobów dla oczerniania bliźniego, mówimy ze wstrętem, jeżeli w średnich wiekach przybijano im języki do brody, to na cóż zasługuje pismo z kierunkiem ludowym, używające takich sposobów względem... ruchu ludowego i jego przedstawicieli, i to używające go publicznie, puszczające pomiędzy setki i tysiące ludzi takie wstrętne fałsze i plotki w postaci „drukowanego słowa", mającego pewną powagę u mas.

Chyba redakcya pisma powinna gruntownie zbadać kwestyę, zanim o niej swoje zdanie wygłosi. Otóż pomijając wyjaśnienie tow. Daszyńskiego w 8 zeszycie „Przedświtu", pomijając głosy pism wszystkich, ale choćby z niedawnej mowy tow. Kozakiewicza w parlamencie, o której nawet „Kraj" sympatycznie się odezwał, mogła redakcya przekonać się dobrze, czy socyaliści bronią niemczyzny, będąc w opozycyi względem obecnego gabinetu. Stanowisko ich dokładnie określone było już nieraz; redakcya „Głosu" o to nie dbała i, zamiast, jako pismo mniej więcej postępowe, wyjaśnić zawiłą dla ogółu kwestyę stanowiska naszych towarzyszy w parlamencie, uznała za stosowne jeszcze więcej ją zmącić, a współzawodniczącą co do wpływu na lud partyę, w tak podły i wstrętny sposób oczernić. Oto jak postępuje pismo „popierające samodzielny ruch ludu" „walczące z reakcyą i uciskiem", jak przemawia organ postępowej inteligencyi w kraju.

I ci ludzie, uprawiający taktykę potwarzy niedomawianych, obrzucający bojowników za lud robotniczy polski błotem kalumnii z za płotu, mienią się być przewodnikami ludu polskiego, rzecznikami jego sprawy!

K—icz.

* *

„Zgodność uczuć" redakcyi Głosu warszawskiego i jego czytelników. — Taktyka Głosu względem socyalistów, polegająca na rzucaniu niedomówionych insynuacyi, oburzyła szerokie koło jego czytelników. W poprzednim numerze umieściliśmy dwa artykuliki w tej sprawie, nadesłane z kraju. Teraz komunikują nam list pewnego prenumeratora Głosu, który podajemy, gdyż stanowi on charakterystyczny objaw nastroju, panującego wśród czytelników tego pisma.

Do Redaktora Głosu.

Szanowny Panie Redaktorze!

Sposób traktowania przez Redakcyę Głosu niektórych spraw, zmusza mnie do niniejszego listu.

W N° 47 Głosu, w przeglądzie politycznym, Redakcya dopuszcza się tendencyjnej insynuacyi względem polskich socyalistycznych posłów do parlamentu wiedeńskiego, jakoby polityka ich (zajadła obrona niemczyzny), miała pewne pobudki i to pobudki tego rodzaju, że Pan Redaktor Głosu wzdryga się takowe ogłosić, póki dostatecznych dowodów nie będzie dać w stanie.

Postawienie kwestyi w tej formie na etykę socyalistycznych posłów pod zaborem austryackim rzuca poważny cień, czego nie wypadało czynić, tem bardziej, że sam Pan zaznacza, że *dostatecznych dowodów dać nie jest w stanie.* Wszak niedawno sam Pan doświadczył na sobie zupełnie podobnej taktyki, gdy Niwa całą Redakcyę Głosu nazwała gniazdem hakatystów — i, jeżeli niegodziwością jest rzucać podobnego rodzaju pazkwile, niemniej ostrego trzeba użyć wyrażenia wtedy, gdy Pan polskiemu socyaliście zarzucasz pobudki, które wzdragasz się ogłosić!

Nikt od Pana nie wymaga, żeby Pan został socyalistą, lub godził się na taką lub inną ich politykę; przeciwnie, bezstronną krytyką oddał by Pan tylko usługę a opublikowaniem kompromitujących dowodów przekonałby Pan, że kierownictwo Partyi jest w złym ręku i zapewne socyaliści pod zaborem austryackim nie omieszkaliby z Pańskich odkryć skorzystać; pisanie jednak insynuacyi bezpodstawnych, nieokreślających ani winy, ani jej stopnia, jest rzeczą niegodną ani pisma ani kierunku, jaki Pan reprezentuje.

Pozwalam sobie jeszcze dodać, że myli się Pan sądząc, jak to Pan mówi w swej zapowiedzi na rok 98, że „z ogółem (zapewne prenumeratorów), wiąże Pana ściśle zgodność uczuć najgłębszych", a złudzenie pochodzi stąd, że wielu z nas, prenumeratorów Pańskich, nie mając możności dania wyrazu swym przekonaniom w prasie, zbliżyło się do Pańskiego pisma, jako reprezentującego kierunek demokratyczny, co bynajmniej nie oznacza takiej harmonii, o jakiej Pan mówi, i jeżeli by np. londyński Przedświt zażądał kategorycznie nie popierania pisma pańskiego, to bardzo rychło osiadłbyś Pan na mieliźnie. Z wyżej przytoczonych powodów, jak również z powodu tendencyjnych napaści na socyalistów polskich korespondenta pańskiego ze Lwowa, mam zaszczyt prosić o wykreślenie mnie z listy swoich prenumeratorów; z przesłania należnych mi jeszcze do końca roku egzemplarzy „Głosu" pana zwalniam.

Z należnym szacunkiem

N. N.

* *

Dąbrowa Górnicza w grudniu. — Żandarmi postanowili sobie „dobratsia k wierszynam" i z zaciekłością prowadzą wciąż swą robotę: założyli formalne biuro w jednym z domów Huty Bankowej, nasprowadzali moc całą szpicli i zwykłych fijołków. Areszty nie ustają; do tej pory wzięto około 40 robotników; żandarmom chodzi przeważnie o to, kto organizował i przemawiał na zebraniach, odbywanych jakoby po lasach przed wybuchnięciem strejku. Ażeby sobie ułatwić tę robotę kazali wszystkim uczniom Szkoły Górniczej fotografować się przed feryami zimowemi i fotografie oddać zarządowi szkoły; ma się rozumieć, nie mogąc tego zrobić wprost, trafili do naczelnika górnictwa Choroszewskiego i ten owe rozporządzenie wydał. Niech probują „szczęścia" na tej drodze — życzymy powodzenia. Z pomiędzy nie robotników aresztowano zecera z drukarni Swięckiego, Rogulskiego, urzędnika z Huty tego ostatniego po 10-ciu dniach puszczono; dalej Łaszczynina z IV-go kursu Szkoły (syn żandarma) i inżyniera z fabryki maszyn; tego ostatniego (Daszyński) aresztowano w niedzielę popołudniu na stacyi kolejowej.

Jakby dla ciągłego przypominania ludziom o niedawnej jeszcze zbrodni, dwie roty wojska stoją ciągle w Dąbrowie; żołnierze dzień i noc pilnują wejść do Huty i mieszkania Hartinga. Zdaje się, że pozostaną oni u nas na stałe, gdyż zarząd fabryki ma budować koszary: doczekamy się nareszcie i łaźni, gdyż jest potrzebną dla żołdactwa; jedyna to będzie korzyść z pobytu tej zgrai, gdyż robotnicy nie mogli się tej

łaźni doczekać, mimo rozporządzenia władz, zobowiązującego każdą fabrykę do budowy bezpłatnych kąpieli.

Dotychczas do gminy Dąbrowa należą jeszcze Sielce i Zagórze; otóż dla lepszego dozoru policyjnego każda z tych miejscowości będzie stanowić niezadługo oddzielną gminę. Straż ziemska otrzymała w ostatnich czasach szczegółową instrukcyę w sprawie urządzania nocnych patroli, kontrolowania stróży itp. Otóż owe patrole mają zatrzymywać każdego z przechodniów po g. 9-tej wieczorem, żądając od niego legitymacyi, uważać kto przejeżdża, jakiemi końmi, jakim ekwipażem, z latarniami czy bez itd. itd. — Zwrócono też większą uwagę na formalności meldunkowe, gdyż do tej pory panowały pod tym względem takie błogie zwyczaje, iż nikt się nie meldował. Wszystkie te obostrzenia są robione z nadzieją ze strony władz, iż uda im się zaprowadzić większy „porządek“, tj. nie dopuścić masowego rozpowszechniania odezw, i przyłapać gdzie jakiego socyalistę. Może to byłoby i skuteczne, gdyby tak było wprowadzone kilka lat temu; obecnie jednak ani takie ani żadne inne środki na wiele się nie zdadzą: w Warszawie co krok to policyant, a mimo to ludzie nawet i drukować potrafią.

* * *

Górnik. Młode pisemko dąbrowieckie raźnie idzie w ślady „Robotnika“. Ukazał się już Nr 4 „Górnika“ pomimo wszystkich usiłowań całej zgrai fijołków i szpicli, którzy uszczęśliwiają swą obecnością ognisko naszego ruchu górniczego. Treść numeru, jak zwykle, bardzo urozmaicona. W słówku od redakcyi wydawcy zapewniają czytelników, że „Górnik nadal będzie wychodzić dotąd, dopóki istnieć będą dzisiejsze niesprawiedliwe porządki, dopóki nie pozbędziemy się panów i rządu moskiewskiego“. Artykuł wstępny „Nowe Prawo“ tłumaczy robotnikom, jakie znaczenie może mieć w Polsce nowoogłoszone prawo o długości dnia robotniczego. Pięknie napisany „List do braci górników“ porusza sprawę stosunku księży naszych do ruchu robotniczego. Liczne „Głosy z kopalń i fabryk“ zawierają sporo danych o smutnej doli robotnika polskiego. Całość przedstawia się jako wyborny materyał agitacyjny, który może oddać sprawie uświadomienia mas robotniczych ogromne usługi.

* * *

Konferencya górnoszląska.

Na Nowy rok odbyła się w Prudniku konferencya towarzyszy polskich i niemieckich w sprawie kandydatur przy wyborach do parlamentu. W następnym Nrze „Przedświtu“ omówimy obrady tej konferencyi szczegółowo, na razie zaś zaznaczymy, że osławiony p. Winter znowu wyjechał ze swymi oklepanymi zarzutami przeciwko partyi naszej. Rzucił się nie tylko na P. P. S. zaboru pruskiego, ale również i na Z. Z. S. P. i na tow. Daszyńskiego, który według słów jego jest czemś w rodzaju zapory dla rozwoju socyalizmu w całej Austryi. Pan ten widocznie uwziął się poróżnić socyalistów polskich z niemieckimi i zatamować na Górnym Szlązku rozwój ruchu socyalistycznego wśród robotników polskich. Towarzysze nasi bronili swej pozycyi dzielnie, ale, niechcąc iść za przykładem różnych Winterów i wzniecać sztucznych niesnasek między towarzyszami obu narodowości, przystali na następujące obsadzenie spornych okręgów wyborczych:

na okręg Katowice-Zabrze: tow. *Morawski*,

na okręg Bytom-Tarnowice: tow. *Sachse*.

* * *

Nowy sposób zwalczania socyalistów.

Do jakich środków uciekają się nasi wrogowie, najlepiej pokazuje przykład następujący. W Przemyślu wychodzi od paru tygodni marne pisemko „Słowo Wolne“, redagowane przez niejakiego Wacława Regera. Otóż w N⁰ 13 tego pisemka (z dnia 24 grudnia) znajdujemy artykuł wstępny p. t. „Doniosłe oświadczenie“, na początku którego widzimy wstęp, wydrukowany tak grubym drukiem, jak gdyby chodziło conajmniej o przejście papieża na prawosławie, lub detronizacyę cara. Ustęp ten brzmi: „Związek zagraniczny socyalistów polskich na wniosek sekcyi genewskiej oświadczył się przeciw polityce, prowadzonej w parlamencie austryackim przez posła Ignacego Daszyńskiego“. Dalej idą komplementy dla członków Z. Z. S. P., przeciwstawiające to „czoło narodu“ socyalistom galicyjskim, nareszcie jako konkluzya podane są znowu słowa wrzekomo Z. Z. S. P.: „Miejmy przedewszystkiem Polskę; gdy będzie — czasu dość na walkę z burżuazyą i k pitałem!“ „Oświadczenie“ to zdaniem redakcyi „Słowa Wolnego“ jest „epokowem“. Dla tego też widocznie wydrukowała je ogromnemi literami.

Oczywiście, że ani myślimy polemizować z p. Wacławem Regerem. Kto tylko zna choć trochę działalność Z. Z. S. P., ten zrozumie, że ani Z. Z. S. P. nie składał żadnego oświadczenia w rodzaju powyższego, ani sekcya genewska nie mogła stawiać żadnego wniosku w tym kierunku. Cały artykuł „Słowa Wolnego“ jest od początku do końca kłamstwem które możemy zbyć taką samą pogardą, jaką zbywamy jego w swoim rodzaju komplementy dla Z. Z. S. P. Jeśli mu zaś poświęcamy parę słów, to robimy tylko w tym celu, ażeby pokazać, że wrogowie nasi nie cofają się przed żadnem kłamstwem, byle tylko utrudnić działalność towarzyszom naszym w Galicyi. Tendencya artykułu jest całkiem wyraźna: udowodnić publiczności, że działalność Daszyńskiego i towarzyszy nie znajduje miru nawet u socyalistów. Ale, jeśli towarzysze nasi w Galicyi dali sobie radę z rządem, policyą i partyami reakcyjnemi, to z pewnością dadzą sobie radę i z przemyskimi „Filipami z konopi“, a Z. Z. S. P., którego zadaniem jest niesienie pomocy towarzyszom w kraju, poprze ich ze wszystkich sił i na tem polu, jeśli zajdzie tego potrzeba.

* * *

Stolarze lwowscy do stolarzy warszawskich.

Zebrani w swem stowarzyszeniu „Zgoda“ na uroczystości „opłatka“, stolarze lwowscy uchwalili następującą rezolucyę, którą nam przysłano z prośbą o umieszczenie w „Przedświcie“, gdyż towarzysze z innych zaborów nie mają na razie żadnego sposobu bezpośredniego komunikowania się ze swoimi braćmi, walczącymi pod knutem moskiewskim. Chętnie podajemy tę rezolucyę, jako nowy dowód, że towarzysze galicyjscy bacznie śledzą walkę okonomiczną i polityczną braci zakordonowych i cieszą się z każdego ich zwycięstwa. Rezolucya ta brzmi:

— „My towarzysze stolarze we Lwowie, zebrani w dniu 9 stycznia 1898 r., ślemy braciom i towarzyszom warszawskim serdeczne pozdrowienia i wyrażamy im swą sympatyę za ich dzielną walkę z caratem. Witamy również z radością zwycięstwo, które odnieśli w roku zeszłym w walce z fabrykantami i majstrami o skrócenie dnia roboczego. Niech żyją nasi bracia w zaborze rosyjskim! Niech żyje P. P. S.

Przewodniczący: *Fr. Szydłowski*.

Sekretarz: *Alojzy Korzeniowski*“.

* *
*

Nekrolog Badeniego. — Czego, ale humoru naszym towarzyszom galicyjskim odmówić nie podobna. W Nº 11 Równości cieszyńskiej znajduje się paradny nekrolog Badeniego. U góry wyrysowana jest szubienica, a pod spodem napis:

Do głębi wstrząśnięci, złamani ciężkim bólem, podają podpisani w imieniu własnem i swoich przyjaciół partyjnych, smutną wiadomość o śmierci politycznej uwielbianego mordercy chłopów galicyjskich, ciemięzcy ludu, gwałciciela wolności i prawa, prześladowcy socyalnej demokracyi (co mu się za szczególną zasługę poczytuje), męża stanu z żelazną ręką i miedzianem czołem, wielkiego bandyty i arcyopryszka

Hrabiego KAZIMIERZA BADENIEGO
emerytowanego ministra,

który po długiej i ciężkiej chorobie, zwanej „zachcianki absolutystyczne", udławił się w niedzielę 28 listopada groźnem oburzeniem całego ludu i śmiałem a stanowczem wystąpieniem socyalno-demokratycznych posłów.

Drogie jego szczątki zostaną złożone na wieczny spoczynek we własnym grobie „końskiego kasyna".

Niech spoczywa w pokoju!

ciężko strapieni pozostali:

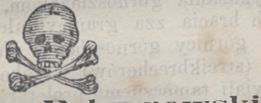
Ks. Stanisław Stojałowski
pielgrzym do Kanossy.

Abrahamowicz
armeński eunuch.

Falkenhayn
morderca z Pol. Ostrawy.

Strańsky
adwokat nieboszczyka.

Świeży
członek „Koła polsk."



Korneliusz Bahrynowski

Dnia 25 lipca 1896 roku zastrzelił się w Wierchojańsku polityczny zesłaniec *Korneliusz Bahrynowski*. Pochodził ze szlachty polskiej z Wołynia, urodził się w 1859 w Żytomierzu. Miał wszystkie dodatnie cechy tych okolic, które dostarczyły niegdyś Rzeczypospolitej tylu bitnych i dzielnych rycerzy. Jego niepospolita skromność i małomówność trzymały go zawsze w cieniu i ci tylko, co bliżej go znali, mieli możność go należycie ocenić. Rodzina K. była bardzo uboga, przytem był on jedynym synem, podporą starych rodziców; siostra chorowita i obarczona liczną rodziną, nie mogła mu pomagać, to też, będąc jeszcze młodzieńcem musiał pracować na siebie i rodzinę. Młodziuchnym chłopcem wstępuje do księgarni za subjekta. Tu po nocach czytuje dzieła, jakiemi handluje we dnie. Dzięki nabytym wiadomościom łatwo dostrzegł, że nędza, która dolegała mu osobiście jest udziałem mas. Wrażliwy, głęboko odczuwający, z sumieniem tak czystem i czułem, że nie rozumiał co znaczy „wierzyć a nie spełniać", szukał namiętnie możności służby i ofiary. W r. 1878 w Kijowie zetknął się z polakami, biorącymi czynny udział w działalności rosyjskiej partyi rewolucyjnej. Przyłączył się do nich i po pojmaniu został wyrokiem sądu skazany na śmierć, poczem ułaskawiony i wysłany do ciężkich robót na 4 lata. W 1880 roku był już w Irkucku. Tam należał do tych kilku odważnych i wytrwałych, którzy przebili tunel pod ziemią i murami więzienia dla ułatwienia ucieczki swych nieszczęśliwych towarzyszy. Gnębiony nostalgią sam wiecznie marzył o ucieczce, ale krótki termin kary zawsze go odsuwał na szary koniec kandydatów. W przygotowaniach do słynnej ucieczki Myszkina i dziesięciu innych z więzienia karyjskiego też brał wybitny udział, lecz wczesne wykrycie nie pozwoliło mu korzystać z własnej pracy. Za hardą odpowiedź Rusinowowi, który zwiedzał więzienia z polecenia departamentu policyi, przesiedział bez sądu i wyroku rok po nad termin w ciężkich robotach, poczem w 1886 wysłany do Jakuckiej Obłasti nad Ałdan, do jednego z najbardziej odległych i głuchych ułusów. Próbował gospodarować, zająć się czemkolwiek, ale trawiąca go nieustannie tęsknota wszystko wytrącała mu z ręki. Kilkakrotne projekty ucieczki dla braku środków spełzły na niczem. Wreszcie z Coholem administracyjnie wysłanym z Warszawy uciekł po Lenie do morza. Chcieli się dostać na jaki okręt wielorybniczy, lub opłynąć oceanem Lodowatym północno-wschodnie brzegi Syberyi. Było coś legendarnego w ich zuchwałem przedsięwzięciu. Na łódeczce tak małej, że ledwie dwóch ludzi i 10 pudów rzeczy dźwignąć była w stanie, przepłynęli 2.000 wiorst po olbrzymiej, wezbranej rzece, koło 300 wiorst Oceanem. Policya i krajowcy pewni, że utonęli, nie ścigali ich nawet. Burze i wiatry szczędziły ich, oblegały lodowce, napadały przez ciekawość stadami foki, grożąc łupinę ich przebić, złamać lub wywrócić, ale skrzywdzili ich tylko . . ludzie. Krajowcy z ujść Leny, gdzie lat temu kilka już złapano łódź ze zbiegami politycznymi (Carewski, Lion, Zak, Sieroszewski, dwóch Tarasowych, Aleksandrowa), pojmali ich, gdy zaplątani wśród mielizn, nie mogli wypłynąć na pełne morze. Łódź ich była tak mała, że zginęliby niechybnie. Ale B. należał do ludzi spokojnej, nieulękłej odwagi. Wogóle był w obejściu spokojny, zamknięty w sobie, wydawał się zimnym, lecz był czuły i wierny w przyjaźni, jak kobieta. Jako główny rys charakteru zaznaczyć wypada wysoką szlachetność i wierność danemu słowu. Był to prawdziwie „niezłomny rycerz" wszystkiego, co podniosłe i wielkie. Z poglądów ekonomicznych był szczerym socyalistą, ale uważał narodowość za ważny i pożyteczny dorobek ludzkości i, walcząc w szeregach sprzymierzonych rosyan, zawsze zaznaczał iż jest polakiem. Był bardzo piękny, wysoki, mężny, barczysty a smukły. Był bardzo silny, wytrwały i bardzo sumienny w każdej pracy. Umarł, nie poznawszy innego życia, prócz życia etapów, więzień i głuchych borów. Miał, mówił, jedną chwilę szczęścia, gdy go owiał płomień „idei wielkiej, niepokalanej, słonecznej" i nigdy nie żałował, że ją poznał. Pokój Ci, duchu nieśmiertelny, gdyż żyć będziesz po wieki wszystkie w sercach tych, co miłowali prawdę i dobro!

BIBLIOGRAFIA

Górnik, czasopismo dla polskich górników i hutników. Wychodzi 2 razy na miesiąc; prenumerata wynosi wraz z przesyłką 20 fenigów na miesiąc (w obrębie państwa niemieckiego); członkowie „Związku górników i hutników" otrzymują pismo bezpłatnie, opłacając 40 fen. na miesiąc.

Szczerze winszujemy towarzyszom niemieckim pomysłu wydawania organu górniczego w języku polskim. Nieraz wykazywaliśmy w Przedświcie (a niedawno i w specyalnym numerze „Buletynu", wydanym po niemiecku), że związki zawodowe niemieckie tylko wtedy będą mogły mieć widoki powodzenia wśród proletaryatu polskiego, gdy rozpoczną propagandę w języku zrozumiałym dla naszej ludności. Wysyłanie agitatorów, choćby najzdolniejszych, do prowincyi polskich, nie może przekonać mas, jeżeli ci agitatorowie przemawiają po niemiecku; tymczasem za pieniądze, użyte na ten cel, można doskonale

utrzymać pismo, które w dodatku prawdopodobnie po upływie pewnego czasu będzie się opłacało. „Górnik“ jest pierwszą próbą zerwania z dotyczasowym systemem. Wydawanie tego pisma stanowi najlepszą odpowiedź na artykuły naszych pism burżuazyjnych, które utrzymują, że cała socyalistyczna partya niemiecka składa się z hakatystów. Nie pójdzie ono w smak pp. Winter et Comp., którzy by chcieli nauczyć wprzód po niemiecku wszystkich robotników polskich, a potem dopiero przystąpić do organizowania takowych i którzy żądają od partyi niemieckiej, by przykładała rękę do germanizowania polaków, ale każdy szczery przyjaciel sprawy robotniczej innego będzie zdania.

„Górnik“ ma być pismem czysto zawodowem. Redakcya w następujący sposób streszcza swój pogląd na zadanie pisma:

Czego chce „Górnik“?

„Górnik“ zastępować będzie interesy górników i hutników, a szczególnie bronić on będzie interesów polskiego robotnika.

Gazeta taka, jak „Górnik“, brakła już dawno polskim kamratom, bo ci, wywędrowawszy z Poznańskiego, z Szląska, z Kongresówki i Galicyi, w okolice, gdzie się tylko po niemiecku mówi i, nie rozumiejąc mowy swojej nowej ojczyzny, nie znają stosunków zarobkowych w kopalniach niemieckich. Ludzie bez sumienia wyzyskują tę nieświadomość polskiego robotnika. W kopalniach i hutach obchodzą się z polskim robotnikiem, jakoby on był człowiekiem drugiej klasy. Wydane przez rząd i przez policyę górniczą ochronne prawo dla robotników, polski robotnik nie rozumie, gdyż prawo to jest w niemieckiej mowie pisane.

Tę nieświadomość „Górnik“ zwalczać będzie i wyzyskiwaczom robotników zawsze prawdę wypowie.

„Górnik“ chce polskich kamratów pouczyć, po pierwsze: jakie oni prawa mają; po drugie: jakie obowiązki polscy kamraci mają do spełnienia. To jest celem „Górnika“.

Dalej „Górnik“ wskazywać będzie na nizką płacę, jaką robotnik za swą ciężką pracę otrzymuje. A przedewszystkiem kamratom z Poznańskiego i Szlązka wskazywać „Górnik“ będzie na ogromne zyski, jakie mają właściciele hut i kopalń w przeciwieństwie do nizkiego zarobku robotnika. „Górnik“ nie będzie „podszczuwać“ przeciw pracodawcom i przedsiębiorcom i przeciw dzisiejszemu ustrojowi państwowemu, również przeciw religii „Górnik“ występować nie będzie. Przeciwnie, zasadą „Górnika“ będzie głosić miłość bliźniego tym wszystkim, którzy nawet w najlepszych czasach robotnikowi źle płacą.

Dlaczego tylu polskich kamratów opuszcza swoje strony rodzinne? Oto dlatego, że zarobek tam nie wystarczy na utrzymanie życia. „Górnik“ będzie w imieniu ludzkości, w imieniu prawdziwej miłości bliźniego wzywał właścicieli hut i kopalń żeby oni biednemu polskiemu robotnikowi z jego ojczyzny piekła nie robili.

To musi ustać!

„Górnik“ chce walczyć o lepszy zarobek i o lepsze obchodzenie się z polskim robotnikiem. I bez obawy czynić to będziemy. Nazywać nas będą „burzycielami“ i „buntownikami“, a nawet i duchowieństwo nazwie może „Górnika“ „pismem bezbożnem“ i odmawiać będzie polskich robotników od czytania „Górnika“, ale żaden z rozumnych polskich kamratów tym ludziom, którzy na nas oszczerstwa rzucać będą, wierzyć nie będzie.

Drogę polepszenia bytu, przez prawo dozwoloną, chce dla polskich górników właśnie „Górnik“ wskazać. Innego celu nie mamy.

Wzywamy zatem wszystkich polskich robotników, pracujących w Niemczech, do czytania „Górnika“.

Ton tego wstępnego słow jest niezmiernie umiarkowany. Wątpimy, by to powstrzymało pisma polskie oraz centrowe (katolickie) od zarzucania „Górnikowi“ nietylko socyalizmu, ale wszelkich okropności. Zresztą, samo doświadczenie pokaże redakcyi, jakiej taktyki ma się trzymać pod tym względem.

Oprócz słowa „od redakcyi“ znajdujemy w pierwszym numerze artykuł, wyjaśniający cele i zadania „Związku górników i hutników“ i szereg drobnych notatek, pisanych jasno i zrozumiale. Wogóle numer ten robi dobre wrażenie. Znać, że redagował go człowiek, znający się na rzeczy. Błędów językowych nie brak, ale od nich nie są wolne i pisma burżuazyjne poznańskie, w każdym zaś razie lepiej pisać polszczyzną, niezupełnie poprawną, niż po niemiecku, albo nic nie wydawać.

Redakcya „Górnika“ umieściła się w Bochum. Jest to centr „obieżysasów“, w którym ogniskuje się ruch polsko katolicki. Wolelibyśmy, oczywiście, by pismo wychodziło na Szląsku, ale przeszkadzają temu nieszczęsne warunki polityczne i policyjne, którymi „kultura“ niemiecka obdarzyła tę krainę. Z czasem można będzie zapewne przenieść pismo do miejcowości bardziej polskiej. A już teraz zadaniem „Górnika“ będzie powołać do czynu jaknajwiększą ilość szlązaków.

Dobrze też byłoby, gdyby redakcya „Górnika“ zaznajomiła swych czytelników jaknajszczegółowiej z polskim ruchem robotniczym w górniczych okręgach Królestwa oraz Cieszyńskiego, gdzie on rozwija się potężnie od niejakiego czasu. Sądzimy, że redakcye Górnika warszawskiego oraz Równości cieszyńskiej zechcą jej w tem dopomódz. Jest to ważne nietylko dla wykazania górnoszlązakom, jakie postępy zrobili już ich bracia zza granicy, ale i z tego powodu, że dotąd górnicy górnoszlązcy nieraz grali rolę „smyków“ (streikbrecherów) w zaborze rosyjskim i uniemożliwiali tamecznemu proletaryatowi zwycięstwo nad kapitalistami.

Zyczymy powodzenia nowemu koledze!

A. W.

OD REDAKCYI

Ponieważ w roku ubiegłym wyszło tylko 10 Nr. „Przedświtu“, przeto wszyscy prenumeratorowie zeszłoroczni otrzymają wciągu pierwszego kwartału roku bieżącego premium w postaci przekładu

„TKACZY“ G. Hauptmanna.

Słynny ten dramat dotychczas jeszcze nie wyszedł po polsku. To też przypuszczamy, że, wydając go, zapełniamy dotkliwą lukę w naszej literaturze.

* * *

Z powodu nawału materyału musieliśmy Nr niniejszy wydać u objętości nieco zwiększonej (zamiast 24 str. — 26). Z braku miejsca odkładamy pokwitowania do Nru następnego.

Printed & published by Al. Dębski. Beaumont Square № 7 Mile End Rd. — London E.